BOGUMIŁ-DUDA.

BOGUMIŁ-DUDA.

DRAMAT

W CZTÉRECH ODSŁONACH,

ORYGINALNIE NAPISANY

PRZEZ

Emila Deryng.

WILNO

W DRUKARNI **J. Blumowicza.**

1856.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury, prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno 15 Marca 1855 roku.

Cenzor, Paweł Kukolnik.

OSOBY:

JAKÓB SZUMIŃSKI, Prezydent.
ADELLA, jego żona.
ANTONINA SZUMIŃSKA, jéj pasierzbica.
HENRYŚ } SZUMIŃSCY.
WŁADZIO } Dzieci z powtórnego małżeństwa.
MATEUSZ SPOKOJNICKI, utrzymujący niegdyś szkółkę.
WALERY, Guwerner.
ADOLF MIŁOWICZ, Doktor.
ROMUALD ZBYTKOWSKI.
PROKOPOWICZ.
JÓZEF } Sąsiedzi Zbytkowskiego.
ZDZISŁAW }
DZIERŻYŃSKI, b. Notarjusz.
ZACIERSKI, Ekonom.
WESOŁUCHA, Klucznica.
PUPKA, Chłopiec do usług.
MARTA DUDA, Wieśniaczka.
TOMASZ, Lokaj Prezydentów.

Panowie, Służba, Wieśniacy.

Rzecz dzieje się w 2-ch piérwszych Aktach w Myślinie w dobrach Prezydenta, w następnych w dobrach Zbytkowskiego.

OSOBY:

JAKÓB SZUMIŃSKI, Prezydent.
ADELLA, jego żona.
ANTONINA SZUMIŃSKA, jéj pasierzbica.
HENRYŚ } SZUMIŃSCY.
WŁADZIO } Dzieci z powtórnego małżeństwa.
MATEUSZ SPOKOJNICKI, utrzymujący niegdyś szkółkę.
WALERY, Guwerner.
ADOLF MIŁOWICZ, Doktor.
ROMUALD ZBYTKOWSKI.
PROKOPOWICZ.
JÓZEF } Sąsiedzi Zbytkowskiego.
ZDZISŁAW }
DZIERŻYŃSKI, b. Notarjusz.
ZACIERSKI, Ekonom.
WESOŁUCHA, Klucznica.
PUPKA, Chłopiec do usług.
MARTA DUDA, Wieśniaczka.
TOMASZ, Lokaj Prezydentów.

Panowie, Służba, Wieśniacy.

Rzecz dzieje się w 2-ch piérwszych Aktach w Myślinie, w dobrach Prezydenta; w następnych w dobrach Zbytkowskiego.

AKT PIERWSZY

(*Pokój bawialny Prezydenta, drzwi w głębi do innych pokoi; z lewéj, od strony Aktorów, wazony tworzą Altanę, po tejże stronie drzwi szklanne do ogrodu; na przeciw nich w trzecim planie, drzwi głównego wchodu. Za podniesieniem zasłony, dwóch służących w Altanie przyrządzają do śniadania. Panna Antonina pracuje przy krosienkach; w głębi po prawéj, Stolik, Fortepian, na nim nóty i książki*).

SCENA I.

PANNA ANTONINA *późniéj* WALERY.

ANTOSIA.

Jeżeli już wszystko gotowe, to proście Panią.

TOMASZ.

Jasne Państwo chodzą po ogrodzie, nie wiém więc....

ANTONINA.

Czy i Pan Zbydowski jeszcze nie wyjechał?

TOMASZ.

Dopiéro po południu wyjedzie, Książe pan skarżył się na głowę.

ANTOSIA.

(*nieznacznie się uśmiécha*).

Tomasz.

Otóż nie wiém, czy Jaśnie Wielmożna panieńka, każe mi poprosić Jasnych Państwa?

Antosia.

Zmiłuj się mój Tomaszu, mów do kogo chcesz Jaśnie! Jaśnie Oświecony! Jaśnie Wielmożny! aby tylko nie do mnie; zakazuję ci tych tytułów raz na zawsze — odejdź.

Tomasz.

Z przeproszeniem Jas.... panieńki — Jasna Pani tak surowo przykazała.....

Antosia.

Idź już sobie.

(*Lokaje wychodzą, Antonina pracuje daléj; po chwili zaczyna od niechcenia nócić. Walery wchodzi drzwiami z prawéj, i staje zamyślony. Antosia nagle się obraca, jakby czego szukała, i spostrzega Walerego*).

Ah! to ty panie Walery!

Walery.

Oh Pani! pozwól mi jeszcze tak zostąć.

Antosia (*wskazując robotę*).

Chodź pan tu bliżéj, czy widzisz?

Walery.

Widzę że pani pracujesz bardzo gorliwie.

Antosia.

A wiész dla kogo?

Walery.

Nie śmiem się łudzić.

Antosia.

To dla ciebie mój Walery.

WALERY.

Aniele!

ANTOSIA.

Tylko bez dziękczynień i bez Aniałów, Aniołowie nie robią pugilaresów, i to bez pozwolenia rodziców.

WALERY.

Jednakże wszyscy widzą jak pani pracujesz.

ANTOSIA.

I cóż ztąd? na filuteryi mi nie zabraknie, Macocha kazała mi zrobić pugilares, ma się on dostać (*parodjując*) Księciu panu, ukradkiem więc drugi robię dla ciebie.

WALERY.

Czémże zasłużyłem?

ANTOSIA.

I on jeszcze się pyta? słuchaj Walery, nie jestem dziewczyną piętnasto-letnią, ale co się zowie panną dojrzałą, bo nie zadługo obchodzić będę 21-szą rocznicę moich imienin; zdaje się więc że rozum, jeżeli miał przyjść, to już przyszedł, i mogę mieć swoje zdanie.

WALERY.

Do czego zmierzasz?

ANTOSIA.

Do formalnéj rekuzy dla Księcia pana, i do oświadczenia ojcu, że ciebie kocham, i tylko twoją będę żoną.

WALERY.

Na Boga Pani! nie przyśpieszaj mojéj zguby, teraz cię widzę codziennie, patrzę na ciebie, mo-

gę ucałować niekiedy twą rękę; a potém?.. oh! potém będę ztąd daleko..... wypędzony, wyśmiany, i w trwodze o ciebie moja najdroższa.

ANTOSIA.

Walery! uwagi twoje słuszne, ale już późno. Wczoraj wiész że byłam w spowiedzi; pobożny Kapłan utwierdził mię w odwadze, i dziś mój ojciec wié już o wszystkiém.

WALERY.

(*padając przed nią na kolana*).

Antosio! Antosio! cóż on na to?

ANTOSIA.

Tylko mój luby! bez tych teatralno-romansowych uniesień; kochaj mię po prostu, szczérze, zapomnij żem panną świetnego urodzenia, i posażną; a uważaj we mnie tylko kobiétę nieco płochą, nieco zalotną, dziwaczkę może, ale kobiétę, która umiała ocenić twoją duszę.

WALERY.

A jeżeli mi przyjdzie cię utracić?

ANTOSIA.

Ha! to wówczas poddamy się woli Boga! tak, jak teraz za Jego świętą pomocą, śmiałe stawiémy czoło przeciwnościom losu. Idź mój luby! upadnij na kolana przed obrazem Matki Najświętszéj; módl się, kochaj, wierz, i miéj nadzieję! a spełnią się nasze życzenia.

WALERY.

Kocham, wierzę, i mam nadzieję. Bo kiedy Bóg mię opatrzył takim skarbem, jak twoje ser-

ce Antosio, to teraz z całą wiarą mogę i powinienem zaufać Jego świętéj opiece! ale Antosio droga! chociaż od lat trzech się znamy, nie wiész jednak kto jestem, i jaki miecz wisi nad moją głową!

ANTOSIA.

Ciszéj, nie teraz mi o tém powiadaj; zbrodniarzem przecież nie jesteś, bo to tylko w romansach można kochać się w zbrodniu, a żeś biédny, że uczysz dzieci, aby zapracować na kawałek chleba, to nie twoja wina.

WALERY.

Ale powinnaś wiedziéć że moi rodzice, że ja....

ANTOSIA, (*niecierpliwie*).

O przez Boga! nie odbiéraj mi odwagi; potém będę cię słuchać jak długo tylko zechcesz, ale teraz idź sobie, i za chwilę powracaj.

SCENA II.

CIŻ i ZACIERSKI (*wchodzi środkiem*).

WALERY.

Czy tylko będę miał odwagę, nie wiém.....

ZACIERSKI (*jakby do siebie*).

Co to?

WALERY.

(*Lekko strwożony obraca się*) Ha!

ANTOSIA.

Kto jesteś mój przyjacielu? czego chcesz?

ZACIERSKI.
(*Spoglądając na Walerego, który zmierza ku drzwiom*).

Ja.... Ja.... Dalibóg! to....

ANTOSIA (*do Walerego*).

Mais revenez bientôt. (*Walery odszedł na prawo*). Kogo szukasz?

ZACIERSKI.

Przepraszam Jaśnie Wielmożną Panią, ja.... zbłądziłem.... powiedziano że drzwi do ogrodu tu... A tym czasem tam.....

ANTOSIA.

Czy szukasz kogo?

ZACIERSKI.

Szukam JO. Księcia, z przeproszeniem Jaśnie W. Panny.

ANTOSIA.

Pan Romuald jest w ogrodzie, możesz wyjść témi drzwiami.

ZACIERSKI.

Upadam do stópek JW. Panny. — (*wracając nie śmiało*) z przeproszeniem Jaśnéj Pani, chciałbym....

ANTOSIA (*łagodnie*).

Co takiego? mów śmiało mój przyjacielu.

ZACIERSKI.

Oto proszę JW. Panny, ja się nazywam Zacierski, jestem Ekonomem Miedza-golskim, i zdaje się mnie.... to jest mnie się tylko wydaje, że ten pan co tu....

Antosia (*dumnie*).

Co?

Zacierski.

To jest.... nie JW. Panno...... to ja idę już (*ns.*). O niech ją djabli! (*głośno*) to ja pomyliłem się. (*odchodzi*).

Antosia.

Czy warjat? (*śmiechy za sceną*). Idą, (*wraca do roboty*).

SCENA III.

Prezydent — Adela — Spokojnicki — Zbytkowski i dwóch lokai.

(*Spokojnicki wchodzi piérwszy — Zbytkowski prowadzi Adelę. Prezydent ostatni, pali cygaro, Spokojnicki fajkę, Adela cygaro*).

Adela.

Sans gène — lisez votre lettre.

Zbytkowski.

(*Puszczając rękę Adeli*).

Pardon Madame! (*do Antosi*), Bon jour mademoiselle.

Antosia.

(*z lekka się kłania i pracuje daléj.*)

Spokojnicki.

(*Siada piérwszy przy stoliku w altanie, Adela na fotelu w środku, Prezydent z drugiéj strony. Zbytkowski na przodzie sceny, zajęty czyta-*

niem. Dwa krzesła pozostają próżne — Lokaje stoją o podal z serwetami na ręku.)

PREZYDENT.

Pfu! parny będzie dzień, héj! dla mnie jest czokolada? (*Lokaj przysuwa*) z wanilją?

TOMASZ.

Z wanilją Jaśny Panie.

PREZYDENT.

Ochłodzona? dobrze. Panie Romualdzie, pijam teraz czokoladę z wanilją. Adelka mówi że to zdrowo.

ADELA.

Par grâce?

PREZYDENT.

A cóż ja tu tak złego powiedziałem? no, ma chère nie gniéwaj się, wiész że lubię żartować.

ZBYTKOWSKI.

Dieu soit loué, enfin j'ai fini. (*chowa list.*)

PREZYDENT.

Panie Mateuszu! przestań już raz pykać fajczysko, i biérz się do śniadania.

ADELA. (*do Zbytkowskiego*).

Vous avez reçu de nouvelles?

ZBYTKOWSKI.

Lettre d'affaire c'est.... ale otóż znowu postępuję w brew zakazowi panny Antoniny. — Nie zapominaj pani, żeśmy sobie dali słowo mówić tylko po polsku; należy postępować, żyjemy przecie w wieku postępowym.

ADELA.

Prawda, prawda, już to książe Romuald może

całemu obywatelstwu służyć za wzór do naśladowania. — Antosio! czy ty dzisiaj nie myślisz jeść śniadania?

Zbytkowski. (*wpatrując się w robotę*).

Kiedy bo oczu nie można oderwać od téj prześlicznéj roboty.

Adela.

A gdybyś jeszcze Książe wiedział, dla kogo tak pilnie pracują te ładne paluszki...

Prezydent.

Tobyś pewnie z przesytu radości pościł ze cztéry niedziele — Panie Mateuszu zadławisz się!

Adela.

(*Ze wstrętem spójrzała na Spokojnickiego i odwraca głowę.*)

Zbytkowski.

Prześliczne! prześliczne, czy to na pugilares?

Antosia.

Na pugilares.

Zbytkowski.

A czy wolno spytać dla kogo?

Antosia.

Mnie się pan pyta? kazano i robię.

Prezydent.

Panie Mateuszu! cóż znowu, po befsztyku, zabiérasz się do mojéj czokolady. Daj pokój, to z wanilją.

Adela.

Czego mu wzbraniasz? kiedy ma ochotę to niech pije.

PREZYDENT.

Ależ moja duszko, zaszkodzi staremu wanilja.

SPOKOJNICKI.

(*Przysuwa rękę do imbryczka.*)

At!

ADELA.

Niech cię o to głowa nie boli — za pozwoleniem pana to dla mnie kawa — oto tam stoi pasztet i wino. (*Lokaj przysuwa*) détestable!

SPOKOJNICKI (*z lekkim grymasem*).

A! . . . . (*zabiéra się do pasztetu.*)

PREZYDENT.

Ależ Romualdzie! Antosio! dajcie pokój tym umizgom i chodźcie lepiéj do śniadania.

ADELA (*z oburzeniem*).

A! mój mężu, jakie ty masz niekiedy wyrażenia!

PREZYDENT.

Ależ bo stary zwija się za cztérech, repetuje aż miło patrzéć; nic nie zostawi nikomu.

ZBYTKOWSKI.

Dobrego apetytu panu Spokojnickiemu, nam tu i tak dobrze.

SPOKOJNICKI.

Dziekuję!

ZBYTKOWSKI.

Ale uważałem że pani bardzo rano wstajesz; dziś zaledwie otworzyłem okno, mogła bydź godzina czwarta, już zobaczyłem panią w ogrodzie.

ANTOSIA (*nieco zmięszana*).

Lubię bardzo wschód słońca.

ZBYTKOWSKI.

Zdaje się ktoś pani towarzyszył.

ANTOSIA.

Nie mylisz się pan, był ze mną Władzio i pan Walery.

ZBYTKOWSKI.

Pan Walery, kto to taki? (*niby przypominając sobie*) a... Guwerner.

ANTOSIA.

Tak jest.

ADELA.

A propos, zmiłuj się Książe, jak pojedziesz do Warszawy, nie zaniedbaj mi wyszukać guwernera do dzieci.

ZBYTKOWSKI.

Z miłą chęcią, ale czyliż ten nie jest dogodnym, (*uważając Antosię*) uważałem że to bardzo przyzwoity młodzieniec.

PREZYDENT (*uderzając w stół*).

Masz tobie!

ADELA.

Ah! fi — jakżeś mię przestraszył.

PREZYDENT.

Ktoś zajechał przed bramę. Jeżeli jaki interessant, popsuje mi humor na cały dzień. (*wychodzi środkiem*).

SPOKOJNICKI.

(*Nakłada fajkę i przystępuje do okna.*)

ADELA.

Pahytossa! (*Lokaj podaje*) Sprzątać. — Kogoż tam tak wyglądasz panie Spokojnicki?

SPOKOJNICKI.

Tak sobie.

ADELA.

Jeżeli kto z gości przyjechał, a szczególniéj Hrabina, to zmiłuj się wyjdź, bo twoja fajka dreszcz sprawia, gdybyś przynajmniéj cygaro palił — dać ci? pozwolisz.

SPOKOJNICKI.

Nie, nie trzeba, wolę fajkę. — (*Lokaje odchodzą*).

ADELA.

Quelle créature! — No dzieci, teraz kiedy jesteśmy sami, nie traćcie czasu na próżno; nie lękajcie się, ja was nie zdradzę; pożegnajcie się czule. Jedź Książe czém prędzéj do Warszawy, ekwipażuj się i wracaj.

ZBYTKOWSKI.

(*do Antoniny, całując ją w rękę*).

Pani droga! więc zezwalasz?

ADELA.

Całuj, całuj te piękne paluszki niegodziwcze, nie raz ci one dobrze dokuczą. Bo mój Książe to ci z góry zapowiadam: że Antosia straszna kapryśnica. Jak widzisz, kochamy się na zabój! a dla tego i mnie nie raz tak dotknie do żywego że.....

SPOKOJNICKI (*w oknie*).

A!... tak.... to on!...

ADELA.

Cóż tam za wiwaty? (*szczekanie psów za sceną, potém głosy: Puść go! a obrońcież, bo zadusi!*)

ADELA.

Ah!

ZBYTKOWSKI.

Pani mocno się przelękłaś?

ADELA.

Nie, to zamieszanie, ten hałas, strwożyły mię, ale kto by to był?

SPOKOJNICKI.

Oh!....

ADELA.

Pan go znasz?

SPOKOJNICKI.

Przyjaciel.... oh!

ANTOSIA.

Ale jakże się nazywa?

SPOKOJNICKI.

Znasz.

ANTOSIA.

Czy to nie?....

SCENA IV.

CIŻ PREZYDENT. MIŁOWICZ. SŁUŻBA. WALERY. (*we drzwiach*).

MIŁOWICZ.

Tylko zmiłujcie się, nie zróbcie mu krzywdy. (*wchodzi*) Ten pies to wierny mój towarzysz z kaukazu (*do Walerego*) dziękuję Panu, wyświadczyłeś mi wielką przysługę obraniając mego towarzysza od zajadłéj psiarni. (*Walery odchodzi*).

A n t o s i a. (*biegnąc*).

Doktór!

M i ł o w i c z.

To pewnie Antosia?

A n t o s i a.

Ona sama, mój dobry mężu.

M i ł o w i c z.

Ach wiész Antosio, prześliczną mam z ciebie żonkę; miałem dobry gust przed 15-stu laty. Bąć co bąć, kiedy już mię przywitałaś jak męża, to uściskaj teraz jak ojca.

A n t o s i a.

Z duszy, z serca, szanowny Panie Miłowicz!

P r e z y d e n t.

A teraz pozwól ażebym cię przedstawił mojéj żonie. Przedstawiam ci Adelcio dawnego mego kolegę z uniwersytetu, P. Miłowicza Doktora; nie raz to się z nim hulało, biédowało; czasem nie było co zjeść. . . .

A d e l a. (*do służby*).

Czego stoicie?

P r e z y d e n t, (*poprawiając się*).

To jest. . . . . było co jeść, ale nie raz z figlów to . . . . a to moja druga żona, bo nie wiész: Pan Bóg mię skarał, owdowiałem braciszku.

A d e l a. (*na stronie*).

Imbécile!

M i ł o w i c z.

Bóg cię zasmucił, to téż i pocieszył; w téj radośnéj chwili powitania, nie wznawiajmy smutnych

wspomnień. O stracie twojéj dowiedziałem się jeszcze w drodze; odwiedziłem jéj grobowiec, a w hołdzie pamięci uroniłem na nim łez kilka. (*Antosia chwyta skwapliwie jego rękę*). Tak jak teraz bynajmniéj nie ukrywam radości, i z serca się cieszę, jeżeli moja luba Antosia, w osobie pani, znalazła drugą matkę.

ADELA.

Na to nam Antosia może lepiéj odpowiedzieć.

PREZYDENT.

Rozgość się Adolfie jak u siebie, każę ci zaraz przygotować pokoje. Tym czasem zapoznaj się bliżéj z miejscowością, to pan Romuald . . . .

ADELA.

Książe Romuald Zbydowski, przyszły małżonek Antosi.

MIŁOWICZ.

Ach! widzisz nie wierna. Nie dotrzymałaś mi słowa.

ANTOSIA.

Owszem mój dawny mężu, dotrzymałam ci słowa w całém znaczeniu tego wyrazu; jestem jeszcze panną, i najsolenniéj przyrzekam nie wyjść za Księcia Pana.

ADELA. (*prawie z groźbą*).

Antosio!

PREZYDENT.

Żarty! wzdycha skrycie, a przed nami gra komedję. „Nie chcę, nie wiém“—to są słowa wszystkich Panien, dopóki nie staną na kobiercu. Ale,

jeszcze ci nie przedstawiłem moich synów; dzięki Adelce mam dwóch chłopaków jak lalki (*dzwoni*) Poproś tu Pana Guwernera z dziećmi. — Gdzieżeś ty przebywał? Co się z tobą działo? zniknąłeś jak kamfora i spadasz nam jak z deszczem.

MIŁOWICZ.

Wszystko ci opowiem w późniejszym czasie dokładniéj, bo kupiłem majątek w waszém sąsiedztwie i zamyślam tu osiąść.

ZBYTKOWSKI.

Właśnie mi tylko co o tém doniósł mój korespondent. Miło nam będzie pozyskać takiego sąsiada, bo i moje posiadłości graniczą poniekąd z dobrami P. Prezydenta.

MIŁOWICZ.

Jak godność? jeżeli raz jeszcze wolno spytać, bo w tym tłumie wspomnień, wybacz pan, że przepomniałem.

ZBYTKOWSKI.

Zbydowski.

ADELA.

Książe Zbydowski.

MIŁOWICZ.

Otóż ten tytuł wszystko mi miesza, kolegowałem także z jednym Zbytkowskim, ale . . . . .

PREZYDENT.

To ojciec Romualda. Kacper — przecież i ja go znałem.

MIŁOWICZ. (*patrząc ze wzruszeniem*).

To niepodobna! Pan był byś synem Kacpra Zbytkowskiego!

ZBYTKOWSKI.

Niestety! przed pietnastu laty w jednéj chwili prawie, smutny wypadek pozbawił mię rodziców.

PREZYDENT.

Bolesne wspomnienie. Opowiémy ci to późniéj.

MIŁOWICZ.

O mój Boże! mój Boże! Pietnaście lat rozłąki, a ileż to mogił świéżych jeszcze dla mojéj pamięci. Ileż to wspomnień tłoczy mi piérsi... A ja przez 15 lat ścierałem się z szorstkim losem, nie wiedząc nawet co się dzieje za obrębem gór Kaukazu. Oddalony od was, tęskniłem do rodzinnéj ziemi, do przyjaciol, i może w téj chwili kiedyś ty panie Zbytkowski opłakiwał stratę rodziców, mnie pocztowa trójka uniosła daleko..... w kraj nie znany... ale to już przeszło. Odrodzony powracam do was, aby tu spocząć po trudach na zawsze.

SPOKOJNICKI.

(*Który z fajką w ustach, co raz prędszym krokiem przechadzał się w głębi*). A o mnie to Acan nie spytasz?

MIŁOWICZ.

Co?

SPOKOJNICKI.

No!

PREZYDENT.

Cud! cud! Mateusz przemówił.

MIŁOWICZ.

Pan Mateusz?

PREZYDENT.

Czyż nie przypominasz sobie Spokojnickiego,

mego opiekuna, co to trzymał szkółkę, do którego wyjeżdżając, zawsze swoje listy kazałeś adresować. —

Miłowicz.

O na rany Boskie! Pan Mateusz. Ojcze! Dobrodzieju! Tatuniu! jakżeś się zestarzał.

Spokojnicki.

Ot, także zachciał żebym się odmłodził.

Adela. (*do Antoniny niecierpliwie*).

Ah! tym powitaniom, to nie będzie końca.

Miłowicz.

A mój że dobrodzieju! pozwól niech ci się napatrzę. Tak: te same rysy, ta sama stoicka powaga. Zdaje mi się że jeszcze widzę i słyszę, jak mówisz, Surge puer, summe librum, perlege, Sapere aude. —

Spokojnicki. (*ciężko się śmiejąc*).

Ha, ha, ha!

Prezydent.

Ha, ha, ha! pan Mateusz się śmieje — cud! cud! i fajka zgasła? cud, cud!

Spokojnicki. (*mrukliwie*).

Idźże błaźnie.

Wszyscy.

(*Wybuchają śmiéchem, oprócz Adeli i Antoniny*).

Adela. (*ns.*)

Jak to miło.... aż mnie spazmy porywają. (*ziewa*).

PREZYDENT.

A kulawego Jacka, przypominasz sobie Doktorze, co to nam listy zawsze przynosił?

ADELA.

Oni gotowi i starych fagasów zwołać do powitań.

MIŁOWICZ.

A cóż, czy żyje?

PREZYDENT.

Żyje, żyje! zaraz ci go przywołam.

ADELA.

A co, nie mówiłam. (*głośno do męża*) Monsieur!

PREZYDENT.

Plait—il ma femme? (*mówią z sobą po cichu*).

SPOKOJNICKI.

Czekajcie no, (*mówi z wolna i z namysłem, mrukliwie*). Jacek.... listy..... a wszakże ja mam jeszcze listy do Wacana.

MIŁOWICZ.

Listy do mnie? od piętnastu lat.

SPOKOJNICKI.

A tak, jakeś głupstwa narobił.... i zginąłeś jak kamień w wodzie — przyszły listy do Acana z różnych stron.... mam ich tam na górze u Jacka. przyniosę. (*odchodzi głębią*).

MIŁOWICZ.

Oto ciekawa będzie korespondencja: czytać list pisany przed piętnastu laty.

Zbytkowski.

A może jeszcze proszą o odpowiedź.

Prezydent.

(*w złym humorze, przestał mówić z żoną*).

Odpowiedź będzie krótka: za drzwi, i basta.

Miłowicz.

Jakto? za drzwi.

Zbytkowski.

Dla czego?

Prezydent.

A, to ja tak do siebie mówiłem. (*dzwoniąc*). Panicze, czy przyjdą?

Tomasz.

P. Guwerner opatruje pokaleczonego psa, którego nasza psiarnia pogryzła. —

Prezydent.

Idźże powiedź durniowi, żeby mi zaraz przyszedł!

Antosia.

Ojcze!

Prezydent.

Niech panna pomyśli o przyjęciu gościa.

Miłowicz.

Co cię tak nagle zachmurzyło? Wasz Pan Guwerner wielką mi przysługę wyświadczył, bo istotnie to stare psisko, bardzo mi jest miłém. Wywiozłem go szczenięciem z tych stron, nie rozłączałem się z nim nigdy, nawet w czasie bitwy.

Adela.

Jeżeli pan dobr: znasz mego męża, to wiesz, że co chwila zmienia humor.

MIŁOWICZ.

Przyznam się Pani Dobr: że dawniéj takim nie był, owszem, zawsze wesół. Ja, p. Kacper Zbytkowski i mąż pani, stanowiliśmy jedną ligę, a choć było goło, ale wesoło!

SCENA V.

CIŻ — WALERY I DZIECI.

ZBYTKOWSKI.

Zdaje się przecie że mój ojciec.

MIŁOWICZ.

Oh! Pański ojciec był z nas wszystkich najbogatszy, ale miał swoje grzechy, za które go ojciec krótko trzymał; chociaż nie słusznie, bo to był chłopak z głową otwartą, i sercem prawém. (*do Prezydenta*) Ty go tak dobrze nie znałeś jak ja, ale przede mną nic nie miał skrytego. Pamiętasz kiedy to mieszkałeś pod strychem.... P. Kacper był już żonatym. (*dzieci wchodzą*).

ADELA.

Mes enfans.

MIŁOWICZ.

A ładne, śliczne Jagódki! jest co powinszować. Od dziś dnia Antosi dymissja, pożegnaj się moja żonko z karmelkami, bo odtąd będę je znosił twoim braciszkom ale tobie filutko za to, Pan. . . jakże imie?

ZBYTKOWSKI.

Romuald.

MIŁOWICZ.

Pan Romuald będzie przynosił słodycze.

ANTOSIA.

Niestety! dotąd gorycz mi tylko w dani przynosił.

MIŁOWICZ.

O panie Zbytkowski, tu cóś źle słychać.

PREZYDENT.

Nie może nic być złego tam, gdzie matka chce, a ojciec każe. (*do Walerego*) a Waćpan. . .

ADELA. (*przerywając*).

Proszę pójść z dziećmi do ogrodu (*do Walerego groźnie*). Sortez!

PREZYDENT.

Czekam na Waćpana o 3-ciéj w moim gabinecie.

ANTOSIA. (*mimo-chodem*).

O piérwszéj w altanie.

(*Walery z dziećmi odchodzi*).

SCENA VI.

CIŻ i SPOKOJNICKI (*wnosi 5 listów i oddaje Doktorowi*).

ZBYTKOWSKI.

C'est compréhensible, on aime.

ADELA.

Vous plaisantez.

Zbytkowski.

Słyszałem wyraźnie. „O piérwszéj w altanie.“

Adela.

Nie, to niepodobna, od trzech lat przecież bym cóś dostrzegła.

Zbytkowski.

O wierzaj mi Pani, że serce ma wzrok lepszy.

Prezydent.

Co tam Państwo szepczécie? o kim mowa?

Adela.

Książe mię pytał o dzień zaręczyn.

Antosia. (*cicho do Miłowicza*).

Przyjacielu, ratuj mię!

Miłowicz. (*zajęty czytaniem*).

Nie przeszkadzaj.

Prezydent.

Wszakże przyrzekłem, za miesiąc ślub, a zaręczyny teraz nie w modzie; wreszcie Antosia zrobi tak, jak ja zechcę; chodź tu Antosio.

Antosia.

Co Ojciec każe?

Prezydent.

Wybij sobie z głowy twój głupi romans, jeżeli nie chcesz narazić chłopaka na utratę miejsca i pozbawić go kawałka chleba.

Antosia.

Mój Ojcze!

Adela.

Silence au nom de Dieu! le prince nous observe.

Prezydent. (*głośno*).

Tak, tak kochany Panie Romualdzie. Antosia słuszny ma żal do ciebie. Powiada że dla narzeczonéj, warto najważniejsze opuścić interessa. A ty koniecznie uparłeś się dzisiaj wyjeżdżać.

Miłowicz.

(*Przerzucał niektóre listy, nad jednym dłużéj się zastanawia, drży. nakoniec wykrzykuje*).

Wielki Boże! czy podobna? ach! tak, tak, dodopełnię!.... ten list!

Prezydent.

A tobie co się stało?

Miłowicz.

Ten list w samą porę przybywa! dajcie mi koni! koni czémprędzéj! pojadę, świat przebiegnę. (*spostrzegając Romualda*) Ach!... nie, zostanę tu... dajcie mi tylko kałamarz i pióra. Gdzie mój pokój? chodź Antosio, pokaż mi go. —

AKT DRUGI.

Gabinet Prezydenta Biórko, krzesła.

SCENA I.

Prezydent. Miłowicz. Adela.

Prezydent. (*chodząc*).

Ależ mój łaskawco, partja nie może być lepszą; dziewczyna się starzeje i potém nikt nie zechce. Romuald bogaty, jedyny dziedzic, i podobno nawet Książe! Przytém kocha ją zapamiętale; nie karciarz, nie hulaka, młody, przystojny; a czegóż więcéj trzeba?

Miłowicz.

Trzeba, żeby dziewczyna go kochała, i nic więcéj.

Prezydent.

Tere-fere, romanse z książek.

Miłowicz.

A żeby ojciec twojéj piérwszéj żony tak mówił, byłżebyś ją dostał?

Prezydent.

No, to było co innego.

MIŁOWICZ.

Nic innego nie było: byłeś tak goły, jak ten twój pan Guwerner. Trudniłeś się korepetycjami i uczyłeś dzieci P. Mateusza, jak on uczy twoje dzieci: a przecież dziś jesteś obywatelem zamożnym i lubianym. Wierz mi mój Jakóbie, jeżeli tylko Antosia kocha go, a to zacny i poczciwy chłopak, o czém mieliście się czas przekonać: tak ani pytaj, tylko daj zezwolenie, i nie dręcz córki.

ADELA.

Pozwól Pan Dobr. sobie także powiedzieć: że każda rzecz ma swoją złą i dobrą stronę. Jestem kobiétą postępową, nawet pod tym względem estetyczną. Ulegam dzisiejszym wyobrażeniom o równości, o pojednaniu stanów; ale niech się to wszystko odbywa za obrębem mojego domu: i prędzéj bym kamień do szyi uwiązała mojéj córce! aniżeli bym miała ją wydać za jakiegoś dorobkowicza lub co gorsza...

PREZYDENT.

Ślicznie mówi.

ADELA.

Ja sama pochwalam égalité. Lubię jeździć konno, palić cygara, potępiać arystokrację; ale to wszystko nie wzbrania mi dbać o własne dobro.

MIŁOWICZ.

Czyli inaczéj mówiąc: pani jesteś egoistką.

ADELA.

Być może, i dla tego nie życzę sobie bynaj-

mniéj mieć w rodzinie człowieka bez tytułów, i majątku; który Bóg wié z kąd się wziął, i niczém się nie odznaczył; nawet jeżeli mam prawdę wyznać: ten człowiek musi miéć jakiś nałóg, albo pije, albo... Chodzi jak jaki obdartus, w wytartym surducie, że aż wstyd go ludziom przedstawić, lubo pobiéra dobrą płacę.

Miłowicz.

Łaskawa pani wytarty surdut nie hańbi człowieka; i ja, i mąż pani chodziliśmy z łatanémi łokciami. Może ten biédak ma ubogą familję, którą musi wśpierać, może....

Adela.

Być może że mój mąż chodził w łatanym surducie, ale ja, proszę mi wierzyć: że od kolebki przywykłam do jedwabiów.

Miłowicz.

Gdyby tedy mąż pani był się jéj przedstawił w łatach?

Adela.

Tobym pewnie nie wyszła za niego.

Prezydent.

No, no moja duszko! nie unoś się znowu gniewem, przecież skarbów za tobą nie wziąłem.

Adela.

Jednak moim wpływem wyniosłam cię na dzisiejszy urząd, i pozwól sobie powiedzieć: że mój szwagier Hrabia Ojcowski.... moja ciotka Marszałkowa Przekowska.

Prezydent.

Tylko się nie popisuj z twoją ciotką i szwa-

grem. Goli jak tureccy święci, grosza nie dali, a drą nos do góry, jakby mieli miljony.

A d e l a.

Że też przez Pana, zawsze łokieć dziurawy musi przemówić; dobrze niesie przysłowie: „czém skorupa za młodu nasiąknie, tém i na starość trąci.“

P r e z y d e n t.

Ależ moja Adelciu, bo sama ciągniesz za język.

A d e l a.

Gminnéj gburowatości nie cierpiałam i nie cierpię. Wiész mój panie, z jakiego domu mię wziąłeś. Umiéjże cenić i szanować! (*odchodzi*).

SCENA II.

Prezydent i Miłowicz.

P r e z y d e n t.

E do licha! wziąłem gołą jak palec, a fumów że i sześcioma końmi nie uciągnie.

M i ł o w i c z. (*po pauzie śpiéwa*).

Chcesz się żenić przyjacielu,
To się żeń;
A po ślubie—to ci powiem:
Dobry dzień! —

Szkoda żeście się dłużéj nie posprzeczali, bo sprawa Antosi by na tém zyskała. Cóś pod pantoflem jesteś mój Jakóbie.

P r e z y d e n t.

Zwyczajnie kobiéta, dla tego zawsze robię co zechcę. . .

MIŁOWICZ.

To późniéj ocenię, a teraz wracam do piérwszego: więc stale postanowiłeś wydać Antosię za Zbytkowskiego?

PREZYDENT.

Jak dwa razy dwa—cztéry. Nie dla tego że żona go proteguje, ale że mam w tém własne widoki; uważaj tylko: Zbydowski zrzeka się posagu Antosi, a ja mam synów, i może da P. Bóg! więcéj ich mieć będę.

MIŁOWICZ.

No, to widać że chłopak nie chciwiec, i prawdziwie ją kocha, ale to biéda, że Antosia go nienawidzi.

PREZYDENT.

Co to nie nawidzi? pójdzie za niego, bo ja tak chcę.

MIŁOWICZ.

Kiedy bo znowu głupio gadasz: przecież dziecka za włosy nie poprowadzisz do ołtarza, i nie wyrwiesz z ust: „tak"—Moja rada byłaby jeszcze się wstrzymać, wybadać lepiéj Zbytkowskiego, Antosi nie odbierać nadziei, a tym czasem p. Guwernera oddalić z domu.

PREZYDENT.

Otóż właśnie czego nie chcę. Zbydowski i tak już podejrzéwa, mógłby się domysléć dla czego przegnano Walerego, mógłby się cofnąć, a dziewczyna starzeje.

MIŁOWICZ.

I ty byś śmiał oszukiwać poczciwego chłopca?

Wmawiać mu: że go córka kocha, kiedy tak nie jest.

PREZYDENT.

Tu mój przyjacielu, korzyść na celu!

MIŁOWICZ.

Korzyść? czy już gonisz ostatkiem, że tak łakniesz grosza? czy potrzebujesz gwałtem jeździć cugową karétą i trzymać na respekcie tłuszczę próżniaków?

PREZYDENT.

Tak się to mówi, a wszystko to potrzebne na świecie mój przyjacielu.

MIŁOWICZ.

Potrzebne, to prawda; ale tym tylko, którzy wszystkiego mają do zbytku; tacy niech rozrzucają pićniądze, niech trzymają na usługi po stu lokai; bo lepiéj że dają zarobek biédakom, aniżeli mają dusić pićniądze w zapleśniałych skrzyniach ale ci, co pragną zbytkować z krzywdą uczciwości i bliźniego — są podli! są to worki dziurawe! i do rzędu takich nie chciałbym ciebie zaliczyć.

PREZYDENT.

Od przybytku głowa nie boli!

MIŁOWICZ.

Boli, i bardzo boli mój Jakóbie! bo przypomnij sobie: kiedy przy łojowéj szabaszówce, w zimnéj izbie, wartowałeś kodex; a ja mamrotałem pathalogią — czego wówczas pragnęliśmy? O to: nieco kadzidła sławy, serca kobiéty, któreby odpowiedziało naszemu, i zapewnienia bytu na przyszłość:

a dziś, kiedy Bóg ci dał to wszystko, do czego wzdychałeś: chcesz zbytków, chcesz na starość świecideł, chcesz aby ci biło czołem a dzieciom folgowano swywoli? Wstydź się, wstydź, stary kolego. Nie myśl o zbiorach dla dzieci, a zapędzaj ich lepiéj do książki, i dziękuj Bogu! że ci dał dosyć i dla ciebie i dla nich.

PREZYDENT.

Dziękuję za kazanie.

MIŁOWICZ.

Nie gniewaj się, Jakóbie! ale Bóg widzi że wcale inaczéj myslałem o twoim domie. Żona pali cygara, chce bydź czysto estetyczną, a trąci o milę pachnidłami świata. Ty znowu w miejscu serca, wstawiłeś książkę rachónkową; Dalibóg! zaczynam żałować moich gór.

PREZYDENT.

A któż ci broni do nich wrócić?

MIŁOWICZ.

Powrócę, bąć spokojny. Niech tylko załatwię interes, który wyczytałem w liście pisanym do mnie przed 15-tu laty.

PREZYDENT.

Może mogę ci być w czém pomocnym?

MIŁOWICZ.

Po tém wszystkiém coś mi powiedział, już nic nie liczę na ciebie. Zajmę się więc sam twojém dobrem, bo nie taję ci, że tu i o twoją skórę chodzi·

SCENA III.

Ciż. Walery i Spokojnicki. (*z fajką*).

Walery.

Stawiam się na rozkaz P. Dobrodzieja.

Prezydent.

A!.. prosiémy: cóż to waść masz za widoki że.....

Miłowicz.

Hola, hola! strasznie z góry zaczynasz braciszku. Pozostaw to lepiéj mnie, ja pogadam z tym panem.

Prezydent.

Wielce ci będę obowiązany: znasz moje zamiary, przedstaw że je temu jegomości, bo ja w gniewie mógłbym się zapomnieć, a tego sobie nie życzę.

Miłowicz.

Nie zawiodę twojéj ufności, przyślij mi tu tylko Antosię. (*Prezydent odchodzi*).

Walery.

(*Stoi ze spuszczoném oczami*).

Miłowicz. (*po chwilce*).

Przepraszam pana, że się mieszam w nie swoją sprawę; ale dobro Antosi tak mię obchodzi, jak gdyby była moją córką; posiadałem zaufanie jéj matki, i ręczę że gdyby ta szanowna kobiéta żyła; pewnie nie byłoby przyszło do takiéj ostateczności. Nie chcę panu ubliżać, ale téż i wręcz powiadam, że nie pochwalam wyboru Antosi.

W a l e r y.

A jednakże ja panu z serca dziękuję, żeś mię uwolnił od tłómaczenia się w obec P. Prezydenta; i lubo pana Dobr. nie znam, z całą szczéroścIn odpowiadać będę. Zbłądziłem, wiém to dobrze, żem się ośmielił zwrócić spojrzenie, ja biédak, na bogatą, dziedziczkę. Zbłądziłem, że poznawszy i jéj słabość dla mnie, nie uciekłem zaraz z tego domu, nie zaparłem się swoich uczuć, ale dozwoliłem wzrość nadziei, i jak dziecko oddałem się złudzeniu. Bóg mi jednak świadek. Że żadna rachuba światowa nie wiodła mię w téj sprawie.

M i ł o w i c z.

To wyznanie mię pociesza; serce może zbłądzić, byleby głowa nie popierała błędu; czémże są pana rodzice?

W a l e r y.

Nie znałem ich.

M i ł o w i c z.

A pan, gdzie przed tém byłeś? gdzie kończyłeś szkoły?

W a l e r y.

Nigdzie.

M i ł o w i c z.

Jak to?

W a l e r y.

Wszystko co umiem, jestem winien własnéj pracy; młodość spędziłem na wsi, przy krewnéj którą długo uważałem za matkę.

M i ł o w i c z.

Czémże się ona trudni? trzyma dzierżawę? czy co?

WALERY.

Chłopka, gospodaruje z łaski księdza Plebana.

MIŁOWICZ.

Co raz to lepiéj — jakże się nazywasz?

WALERY.

Nie Walery, ale Bogumił Duda.

MIŁOWICZ.

I o tém wszystkiém, czy wié Prezydent?

WALERY.

Nie pytał mię nigdy o to.

MIŁOWICZ.

Jakżeś się dostał do tego domu? z czyjéj rekomendacji?

WALERY.

Trudniłem się w Petersburgu korepetycjami; jeden ze znajomych P. Prezydenta, któremu przygotowałem synów do Gimnazjum, polecił mię jemu.

MIŁOWICZ.

Gdzie żeś zapisany? Cóż?.. milczysz.

WALERY.

Poddany Miedza-golski!... — Poddany Zbydowskiego!

MIŁOWICZ.

A!.. zginąłeś, zginąłeś na wieki!

WALERY.

Poszukiwany jako zbieg.

MIŁOWICZ.

Dosyć!.. Biédnyś ty, biédna nasza Antosia!

SPOKOJNICKI. (*przystępując*).

Głupstwo! takich jak on ludzi, to mało na świecie. —

WALERY.

Panie Mateuszu!

SPOKOJNICKI.

No, bo co?

MIŁOWICZ.

Czy znasz go dobrze?

SPOKOJNICKI.

O! to tęgi chłopak! — serce złote.

MIŁOWICZ.

Być może, ale przepadł na wieki; nic go nie broni: ani stopień, ani zasługa; gdyby był przynajmniéj skończył Uniwersytet. A niech was P. Bóg kocha!

SCENA IV.

CIŻ I ANTONINA.

MIŁOWICZ.

Źle, źle Antosio! nic wam nie poradzę, pomimo najszczerszych chęci; świat, prawo, uprzedzenia, wszystko przeciwko wam!

ANTOSIA.

I ty nawet, mój przyjacielu?

MIŁOWICZ.

Nie Antosio! ja nie, bo widzę że to zacny chłopak, i P. Mateusz tak powiada, ale....

ANTOSIA.

Ty go jeszcze nie znasz przyjacielu. Dobry, pracowity, pobożny, ludzki!

MIŁOWICZ.

I cóż z tąd? poddany, dezerter podobno.

ANTOSIA.

Więc już nie wolno wynieść człowieka, kiedy go sama natura nad innych wynosi. — Czyjże to obowiązek? czy nie nasz? którzy mamy po temu możność i sposoby. O! przyjacielu mojéj Matki, ty coś mię prawie na kolanach wykołysał, nie odbieraj mi odwagi. Patrz na tego młodzieńca, na to otwarte czoło, na którém szlachetność się piętnuje; on nie pod batóg stworzony; śmiałość, rozum, odwaga, wszystko go zdobi. Dwa lata temu rzucił się w płomienie aby ocalić dziécie, które już i przestraszona matka odbiegła. Téj zimy z narażeniem życia, wydobył z pod lodu (*wskazując na Spokojnickiego*) tego starca, który przez nieuwagę zaszedł aż na przerębl, pokryty śniegiem. Chcesz więcéj wiedzieć?

WALERY.

Dosyć, dosyć. —

ANTOSIA.

Grosz ciężko zapracowany odsyła kobiécie, pod któréj dachem się hodował; dnie i noce poświęca pracy. Patrz za nim kiedy wyjdzie, poprowadzi cię do chaty, w któréj pewnie jest ktoś cierpiący albo potrzebny, i takiego człowieka każesz, przestać mi kochać?

MIŁOWICZ.

Ja ci nie powiadam abyś przestała go kochać, ale nie widzę środka ratunku. Jeżeli chcesz podzielę się z nim ostatnim groszem; zajmę się odtąd jak synem, ale niestety! nic więcéj ci nie przyrzekam. —

W A L E R Y.

O! Panie.

A N T O S I A.

O! mój przyjacielu.

M I Ł O W I C Z.

Dosyć, dosyć; nie rozczulajcie mię (*podnosząc ich*) bo nie cierpię tych wszystkich roztkliwień. Myślmy raczéj co przedsięwziąć ... może przybrać w pomoc Romualda, co?

W A L E R Y.

Panie zgubisz mię! to ...

A N T O S I A.

Przez litość, nie czyń tego.—Ty nie znasz tego panicza.

M I Ł O W I C Z.

On mi się dosyć podoba, wydaje się być zacnym człowiekiem.

A N T O S I A.

Próżny egoista, który pod maską światowego poloru i zdrowego rozsądku, ukrywa najczarniejszą duszę.

M I Ł O W I C Z.

Oskarżasz go, bo ci stanął na drodze, a może niesłusznie.

A N T O S I A.

Nie, jak Bóg żywy! nie. Oddałabym mu sprawiedliwość, gdyby na to zasługiwał; ale od dwóch lat jak go poznałam, nie odznaczył się w niczém coby cechowało szlachetnego człowieka, wszystko w nim wyrachowane; krok, poruszenia, mowa, nawet miłość.

MIŁOWICZ.

At! pleciesz. Przecież nie dla interessu cię kocha.

SPOKOJNICKI.

Dla interessu.

MIŁOWICZ

No?

SPOKOJNICKI.

Durzy Jakóba, że się zrzeka posagu, a po ślubie inaczéj zaśpiewa.

MIŁOWICZ.

Dobrych masz jak widzę obrońców mój przyjacielu, jednakże nim i ja do ich liczby zapiszę się, potrzebuję przekonania; dla tego téż nic wam jeszcze nie przyrzekam i nie obiecuję. Pozwólcie niech się bliżéj rozpatrzę we wszystkiém, a mianowicie, niech lepiéj poznam młodego Zbytkowskiego, czy Zbydowskiego. Zapraszał mię do siebie na myśliwskie śniadanie; otóż namówię Prezydenta abyśmy tam wyruszyli z całym domem; złapiemy panicza niespodzianie, a w tłumie i zgiełku, nie zasłoni się od spostrzeżeń. Co do ciebie mój przyjacielu, nie potrzebuję ci nic zalecać; wiész dobrze co ci czynić pozostaje, uciekaj z tąd czém prędzéj; dam ci piéniędzy na drogę, a jeżeli jaka gwiazdka zaświeci, nie omieszkam ci donieść.

ANTOSIA.

On ma uciekać z tąd?

MIŁOWICZ.

Tak potrzeba, tak chcę i radzę.

SCENA V.

CIŻ i ZBYTKOWSKI.

ZBYTKOWSKI. (*uchylając drzwi*).

A przepraszam, myślałem że zastanę tu pana Prezydenta.

MIŁOWICZ.

Proszę się zatrzymać, zaraz nadejdzie.

ZBYTKOWSKI.

Dobrze że panią tu znalazlem, przychodzę się pożegnać, pilny interes wzywa mię natychmiast do domu, ale mam nadzieję że przed wyjazdem do Warszawy, pani mi dozwolisz raz jeszcze złożyć jéj moje uszanowanie.

MIŁOWICZ.

Nie wyjedziesz jeszcze tak prędko drogi P. Romualdzie, obiecałeś mi swoją pomoc, i liczę na ciebie.

ZBYTKOWSKI.

Nie należę do siebie. — Jeżeli pani raczy przyśpieszyć moje szczęście, gotów jestem dziś jeszcze wyruszyć w drogę.

MIŁOWICZ.

Dobrze że się przyznałeś. Pokrzyżuję ci tak plany, że nie pojedziesz i za dwa miesiące; ale za to w nagrodę, obiecuję ci nakłonić Prezydenta że w brew etykiecie wpadniemy kiedykolwiek z damami w twoją kawalerską ustroń, i zrewidujem gospodarkę.

ZBYTKOWSKI.

O! byłby to zbytek szczęścia, i nie śmiém wierzyć.

Miłowicz.

Antosia się zgadza — wszak prawda?

Antosia. (*cicho*).

Jaki masz zamiar?

Miłowicz.

Zgadzasz się, wszak prawda?

Antosia.

Jeżeli tylko rodzice...

Miłowicz.

Widzisz szczęśliwcze!

Zbytkowski.

Więc pani zezwalasz? o! radości.

Miłowicz.

Tylko na miłość Boską! sza... żeby się o tém nie dowiedziano w sąsiedztwie. — Ah! jakiś obcy.

SCENA VI.

Ciż i Zacierski.

Zbytkowski.

Ah! to mój ekonom Miedza-golski, czego chcesz?

Bogumił. (*ns.*)

To on — poznał mię.

Antosia.

Ten człowiek już przy śniadaniu szukał pana, widać że ma pilny interes. Nie przeszkadzamy. (*kłania się i odchodzi*).

Miłowicz.

Nie odjeżdzaj tylko bez pożegnania się ze mną. (*odchodzi*).

Zbytkowski. (*do Bogumiła*).

Panie Walery! zatrzymaj się, chciałbym z panem pomówić przez chwilkę.

Bogumił.

Ze mną?

Spokojnicki. (*ciągnąc Bogumiła*).

On niéma czasu, chodź.

Bogumił.

Zaraz będę P. służył. (*wychodzą*).

Zacierski.

Czy JW. Pan dobrze zna tego jegomości, co to powiedział: zaraz będę Panu służył.

Zbytkowski.

Dla czego się o to pytasz?

Zacierski.

Bo on powinien służyć Jaśnie Wielmożnemu Panu.

Zbytkowski.

Cóż to za uwagi?

Zacierski.

Z respektem dla JW. Pana, chcę powiedzieć: że ten człowiek jest poddany JW. Pana, ze wsi Miedza-goła.

Zbytkowski.

Co ty mówisz?

Zacierski.

Szczérą prawdę JW. Panie, — poznałbym go w piekle, nie tylko tutaj. Wszakże to ten urwipołeć pozbawił mię lewego oka, ale i prawém mogłem go poznać.

Zbytkowski. (*chwytając go za rękę*).

Więc jesteś pewnym?

Zacierski.

Na dowód, niech tylko Jasny pan każe mu się rozebrać, ma tu, na ręku, po niżéj łokcia, wypisane trzy litery: B. M. Z.

Zbytkowski. (*groźnie*).

Powtórz co powiedziałeś, jakie litery? B. M. Z.

Zacierski.

Musi być hultaj piętnowany za kradzież.

Zbytkowski.

Niezawodnie, dobrze mówisz.—

Zacierski.

Z respektem Jasnego Pana mówiąc... Jaka to harda sztuka! Boć to przed 10-ciu laty, broniąc się od batogów, wybił mi oko; a potém zemknął na bory, na lasy.

Zbytkowski.

Jakże się zowie?

Zacierski.

Bogumił Duda!

Zbytkowski.

A! to cię samo niebo tu zesłało. Słuchaj, jeżeli tak jest jak mówisz, zaczekaj tu do nocy, namów kilku odważnych ludzi, zwiążcie go jak barana i przywieźcie do mnie co prędzéj. Tylko uważaj: niech się to wszystko odbędzie bez krzyków i wrzawy, nadewszytko: broń cię Boże zamieszać mię w tę sprawę. Rób co chcesz, i jak chcesz, ale jeżeli słowo piśniesz o naszém porozumieniu,

to cię nazajutrz przepędzę z całą chudobą! w przeciwnym razie jeżeli zręcznie się sprawisz, wynagrodzę cię sowicie; a na zadatek masz to, bierz — (*daje mu sakiewkę*) i to: (*daje mu zegarek*).

ZACIERSKI.

Ach! Jasny Panie! Jaśnie Wielmożny Panie! Jaśnie Oświecony Książe Panie!!

ZBYTKOWSKI.

Cicho!... ja odjeżdzam natychmiast, i czekam cię choćby do rana. (*odchodzi*).

ZACIERSKI.

Niezła gratka!.. ale uważałeś panie Zacierski, jak pobladł, kiedy wspomniałeś o literach; oj! coś w tém być musi. — Miéj rozum panie Zacierski! umiéj korzystać. (*odchodzi.*)

Zasłona zapada.

AKT TRZECI.

(*Salon w mieszkaniu Zbytkowskiego*).

SCENA I.

(*Jakiś czas scena próżna — po chwili wchodzi Zacierski z kilku wieśniakami, wprowadzając związanego Bogumiła, u którego podarte odzienie; sznury krępują mu ręce i nogi, tak jednak, że wolno postępować może—koszula z prawego ramienia cokolwiek naddarta.*)

Zacierski. (*do wieśniaków*).

Możecie go puścić, tutaj już mi nie zemknie. Patrzcie tylko jaka to cienka koszula na chamie, jakie wąsiki eleganckie! a widzieliście jaki miał fraczek na sobie? sajetowy! Po co żeś się durniu szamotał, i przez to zrobiłeś sobie szkodę. Zleciał ci fraczek z karku podarty, a ja sam był bym go odkupił (*po pauzie*). Dopóki Jasny Pan nie nadejdzie, odpocznij sobie, a wy idźcie do karczmy i zaczekajcie tam na mnie. (*wieśniacy odchodzą*). Widzisz paneczku! jak to źle mieć za wiele fumów we łbie — żeś liznął trochę książek, to już myślisz żeś równy panom! a kto pan, to pan! a kto

poddany, to poddany—tak, tak, taki to porządek na świecie, tego braciszku nie przerobisz chociażbyś miał głowę Salomona. (*ta scena powinna się odbywać z pewném stopniowaniem*). I mnie przed laty skrzywdziłeś, pozbawiłeś oka... widzisz, mógłbym teraz mścić się na tobie, ale ja jestem dobry człowiek, krzywdy niczyjéj nie chcę. — Własnéj zapominam, i wolę ci dopomódz u pana. Nasze panisko dobre, wyrozumiałe, i kiedy kto do niego przemówi z rozumem, jak ja naprzykład: bo nie chwaląc się mam pewne u niego względy i zaufanie! cały folwark Miedza-golski na mojéj leży głowie. Panisko nogą w nim nigdy nie było, i gdybym chciał to. . . (*rozgniewany milczeniem Bogumiła.*) I cóż?.. milczysz jak gawron jaki! Przecież możemy się porozumiéć, ja nie taki zły człowiek.

SCENA II.

Ciż i Wesołucha. (*wbiegając drzwiami z lewéj strony.*)

WESOŁUCHA.

A to co się znaczy, czyby już goście się zjeżdzali?

ZACIERSKI.

Nic to panno Wesołucho, to ja narobiłem takiéj wrzawy, wprowadzając tu tego biédaka, którego pan kazał sobie dostawić.

WESOŁUCHA.

A Bodaj was licho porwało! Tylko co oczy zmrużyłam już i rozbudzili.

Z A C I E R S K I.

Panna sypia po południu?

W E S O Ł U C H A.

Ba i bardzo—kto przez całą noc musi assystować tym urwisom, to dobrze że chociaż w dzień trochę się prześpi, gdy wylecą polować.

Z A C I E R S K I.

To jeszcze polowanie nie skończyło się?

W E S O Ł U C H A.

Ot! także zechciał—nasz pan lubi zabawę. Ale dobrze żeście mię rozbudzili, bo już wieczór blisko i potrzeba zająć się gospodarką. (*spoglądając na Bogumiła.*) Ah! jaki on blady, czy to złodziéj?

Z A C I E R S K I.

Nie — zbieg.

W E S O Ł U C H A.

Biédaczysko! po co żeśćie go tak skrępowali? możeś głodny?

Z A C I E R S K I.

Wstańże kiedy do ciebie panna mówi.

W E S O Ł U C H A.

Niech siedzi, niech siedzi—(*ns.*) ładny chłopak (*głośno*) jak się z panem rozmówicie, przyprowadź go panie Zacierski do kredensu (*ns.*) muszę się dowiedzieć, co on takiego zbroił. (*odchodzi głębią.*)

Z A C I E R S K I.

A niech panienka da znać Panu, bo czekał na nas od wczoraj.

W E S O Ł U C H A.

Czy tak? o to musi być cóś bardzo ważnego

bo jak tylko przyjechał zamknął się w gabinecie, i dotąd tam siedzi — muszę mu za to dobrze natrzéć uszy — (*wybiega*).

SCENA III.

ZACIERSKI, BOGUMIŁ i ZBYTKOWSKI.

ZACIERSKI.

Z tą Imościanką potrzeba trzymać się na moresie... to faworyta naszego pana. Jeżeli cię Jasny pan ułaskawi, i zatrzyma przy sobie, staraj się jéj podlizać. Wstań, wstań, pan nadchodzi!

BOGUMIŁ (*wstaje*).

ZBYTKOWSKI.

(*Wchodzi drzwiami z prawéj strony, ubiór jego w nieładzie, cygaro w ustach.*)

Co to za człowiek?

ZACIERSKI.

A to ten sam, którego Jaśny Pan kaza. . .

ZBYTKOWSKI.

Głupiś!

ZACIERSKI.

(*Przypominając sobie dany rozkaz*).

Nie, to nie ten, to drugi. . . inny zbieg, którego przytrzymałem . . . . poddany Miedza-golski. — Otóż . . . .

ZBYTKOWSKI.

Co u licha! nie mylę się. . . to pan Walery! Guwerner państwa. .. cóżeś ty głupcze najlepszego zrobił?

ZACIERSKI.

Ale nie Jasny Panie! to Bogumił Duda, krewniak Marty, który uciekł z Miedza-goły przed 10-cią laty.

ZBYTKOWSKI.

Cóż to za historja? Co to wszystko znaczy? Odejdź, zostaw nas samych—ale piérwéj rozwiąż nieszczęsnemu ręce. Gotów jestem przysiądz, że ta jakaś pomyłka. Ah! jakżeście go pokrępowali. Na takim sznurze wołu by można powiesić — fe! czyż to się godzi człowieka tak krępować. Prędzéj, prędzéj! patrzéć nie mogę na takie katusze. A jeżeli tu zaszła pomyłka, to cię panie Zacierski przepędzę na cztéry. . . .

ZACIERSKI.

(*Który ciągle rozwiązuje Bogumiła*).

Jak Boga kocham! Jasny panie to święta prawda. — To krewniak Marty, z Miedza-goły i. . .

ZBYTKOWSKI.

Posyłaj że zaraz po tę kobiétę, poprzestanę na jéj świadectwie.

ZACIERSKI.

Na co to potrzebne Jasny Panie! dość tego znaku. . . .

ZBYTKOWSKI.

Milcz! wychodź z tąd, i przyjdź za pół godziny po rozkazy—pewny jestem że to pomyłka. . .

ZACIERSKI.

(*Uderza się ręką w czoło, i odchodzi rozwiązawszy sznury, które porzucił przy drzwiach*).

Z B Y T K O W S K I.

No mój łaskawco! kiedy już jesteśmy sami, chciej że mię zawiadomić, czy w rzeczy saméj jesteś tym za kogo Zacierski cię uważa. Cóż? czy nie raczysz odpowiedziéć. (*Kładzie rękę na ramieniu Bogumiła*).

B o g u m i ł.

Pan o tém wiész najlepiéj.

Z b y t k o w s k i.

Zaręczam ci że niewiém o niczém: (*niby od niechcenia chwyta Bogumiła za rękaw koszuli, którą daléj rozdziera*) ha! cóż to? skaleczony jesteś.

B o g u m i ł.

Nie panie, nie skaleczony na ciele, ale zraniony i upadły na duchu.

Z b y t k o w s k i. (*ns.*)

To on! też same litery! (*głośno*) Więc rzeczywiście jesteś moim poddanym? No mój kochanku, niéma w tém jeszcze tak wielkiego nieszczęścia. Jeżeli zauważam że jesteś człowiekiem godnym szacunku, potrafię zapewnić twoją przyszłość. Wieleż zarobkowałeś u Państwa Szumińskich?

B o g u m i ł.

Panie, jestem twoją własnością, i czuję to...

Z b y t k o w s k i.

Nie odpowiadasz na moje pytanie, mogę się rozgniewać, hardości nie znoszę.

B o g u m i ł.

Panie jestem w twojéj mocy, prawo za tobą, władza przy tobie. Kazałeś mię skrępować i dostawić.

Z b y t k o w s k i.

Bynajmniéj! nie wiedziałem o niczém.

B o g u m i ł.

Panie! nie szpeć twych ust chytrością i kłamstwem. Zapragnąłeś twojéj własności, bo mimowolnie stanąłem na drodze do twych panie zamysłów; nienawidzisz mię, bo kobiéta którą pragniesz wznieść do godności swojéj małżonki, kocha mnie.

Z b y t k o w s k i. (*wściekle.*)

Nędzniku!

B o g u m i ł.

Tak panie, chciałeś żebym mówił i mówię: żadnéj łaski nie mogę się spodziewać, bo to byłoby szaleństwem. Pokory nie dostrzeżesz już we mnie, bo tém samém z hańbił bym kobiétę która mię wzniosła. Rozpaczy nie ujrzysz, bo tu w sercu jest szczęście, wyższe nad poziom. Woli méj nie skrępujesz, bo siła téj woli zahartowała się w nieszczęściu na wszelkie pociski losu; a jeżeli już żadna nie zatleje gwiazdka nadziei, grobowa deska zatłoczy w piersiach to czyste źródło miłości którém oddycham—i tak się wszystko zakończy!!

Z b y t k o w s k i.

Silnie, pięknie powiedziano, chociaż trochę za zuchwale jak na człowieka twojego stanu, bawisz mię jednak. Mów daléj...

B o g u m i ł.

Już nie mam nic więcéj do powiedzenia.

Z b y t k o w s k i.

No, to posłuchaj teraz mnie. Tyle dbam o cie-

bie i twoje o mnie mniemania, ile o ten pyłek z cygara; ale z tobą wiąże się i los kobiéty, którą pragnę upokorzyć, chociaż by kosztem własnéj spokojności. Ona musi być moją, bo ja tak chcę! a dotąd nic jeszcze nigdy nie oparło się mojéj woli.

BOGUMIŁ.

Pan jéj nie kochasz, to tylko kaprys.

ZBYTKOWSKI.

Nie dbam o twoje zdanie, mówię dla tego, że chcę cię użyć za sprężynę, za narzędzie do moich działań; z razu myślałem że jesteś głupszym niż uważam, i chciałem cię podejść; teraz mówię otwarcie: Panna Antonina Szumińska, córka obywatela liczącego się w grono magnatów, dumna ze swego rodu, jakkolwiek byłaby romansową, musi ustąpić zwyczajom światowym; i jeżeli ciebie bohaterze romansu, oczekuje grobowa deska, to ją albo klasztor, albo hańba!

BOGUMIŁ.

Albo szlachetny Zbytkowski, który tyle będzie wspaniało-myślnym że zaslubi nieszczęśliwą.

ZBYTKOWSKI.

Domyślny jesteś. Otóż mój przyjacielu, od téj chwili przywdziejesz liberję fagasow. Dam ci cieńkie suknie, do których jesteś przyzwyczajony, a jeżeli panna Antonina, romansowa bohaterka, nie pogardzi fagasem, jak nie pogardziła biédnym nauczycielem; to będziesz miał sposobność widywać ją dość często, bo za każdą moją bytnością w jéj domu.

B o g u m i ł.

Cóż daléj panie?

Zbytkowski.

Dowiész się o tém zaraz: héj!

B o g u m i ł. (*idzie do drzwi w głąb*).

Uprzedzę Pańskie życzenie.

Zbytkowski.

Hola! gdzie idziesz?

B o g u m i ł.

Nie miéj Pan obawy: chcę przywołać kogo, aby mi przyniósł liberję.

Zbytkowski. (*z uśmiéchem*).

Domyślne z ciebie ladaco!

(*Lokaj wchodzi*).

Zbytkowski.

Przynieść jedną z najpiękniejszych waszych liberyi. (*lokaj odchodzi.*) Ślicznie! od dziś mianuję cię mon prémier Valet de chambre, a ponieważ panowie z sąsiedztwa w krótce wrócą tu na myśliwską biesiadkę, nie oddalaj się z tego pokoju, chcę doświadczyć twéj zręczności w usłudze.

B o g u m i ł.

Stanie się zadosyć woli Księcia Pana.

Zbytkowski.

Cóż to znaczy? śmiesz się do mnie odzywać z pewnym przekąsem?

B o g u m i ł.

Bo pomiędzy nami rachunek ukończony, złe wybrałeś pan narzędzie do zemsty. Panu potrzeba żyjącéj machiny, a będziesz miał trupa.

ZBYTKOWSKI.

Trupa! (*ns.*) Tego mi właśnie potrzeba. (*głośno*) Bawisz mię mój chłopcze.

(*Lokaje wnoszą liberję*).

Tymczasem wdziéj liberję, chcę zobaczyć jak będziesz w niéj wyglądał.—Co? wahasz się.

BOGUMIŁ.

(*Po niejakim namyśle wdziewa frak liberyjny*).

ZBYTKOWSKI.

Charmant, incroyable! jak ci w niéj do twarzy. Tyś stworzony do galonów, i kutasów; skoro urządzę moje interessa, wyjedziemy na czas jakiś do Paryża z moją żoną. Nie jeden Vicomte pozazdrości mi ciebie, i może oddam. W Paryżu, łatwa karjera dla podobnych tobie urwisów. Pobałamucisz wszystkie gryzetki.

BOGUMIŁ.

Niech Książe pan, każe oddalić się towarzyszowi mojéj niedoli; pragnę pomówić z jego szlachetnym Panem sam na sam.

ZBYTKOWSKI.

Odejdź—ale nie oddalaj się z przedpokoju. (*lokaj odchodzi*) cóż mi powiész?

BOGUMIŁ.

Powiem panu: że pragnę się pomodlić, bo już nie wiele mi czasu zostaje do życia, i jeżeli żyję jeszcze, to dla tego, że wybiéram rozważnie rodzaj szybkiéj śmierci.

ZBYTKOWSKI. (*z uśmiéchem*).

Widziałem raz otrutego psiaka, to jakoś prędko się ukończyło.

BOGUMIŁ.

Ale ten psiak nie mógł ci powiedziéć przed zgonem: że człowiek który urąga nieszczęściu, staje się szatanem, że druzgocze prawa ludzkości i przechodzi w bydle.

ZBYTKOWSKI.

Zuchwały!

BOGUMIŁ.

Każ mię uwięzić i zamorzyć głodem.

ZBYTKOWSKI.

Bawisz mię—inaczéj kazał bym cię oćwiczyć, mów dalej—milczysz? au revoir Monsieur le philosoph.

BOGUMIŁ.

Bywaj zdrów szlachetny Panie. Kobiéta którą kocham, która mnie kocha! słusznie pogardza tobą.

ZBYTKOWSKI.

Gdzieżeś ten frazes wyczytał, z dramatów Dumas'a, czy z romansów Sue'go.

BOGUMIŁ.

Słusznie Panie, bo krwawy dramat rozpocząłeś ze mną, romans okropny! który się zakończy więcéj niż śmiercią! bo poszarpaniem wszystkich uczuć szlachetnych kobiéty Anioła! Ona zgon mój opłaci troską całego życia, twoją jednak nie będzie. Jeden jeszcze widzę środek powściągnienia grożącéj nam wszystkim przyszłości, jeden tylko!.. i ten równie dla Pana będzie dogodnym, jak mój zgon! Oddaj mię panie do wojska.

SCENA IV.

CIŻ i WESOŁUCHA.

ZBYTKOWSKI.

Zrobię mój kochanku tak, jak mnie będzie dogodniéj. Dawniéj udzielni Książęta trzymali na dworach trefnisiów... Otóż ja chcę, szanując średnie wieki, wznowić ich zwyczaje—a jeżeli przyznanym zostanie mi tytuł pradziadów, będę miał w twojéj osobie doskonałego błazna.

BOGUMIŁ.

Panie! (*wyciąga z po za piersi małą krucicę, lecz w téj chwili, wzrok jego pada na wyciągniętą rękę Wesołuchy, która mu ukazuje list.*) Ah! (*ukrywa na powrót krucicę.*) Urągasz nieszczęściu, a tém samém urągasz Bogu! i Jemu powierzam mą zemstę.

ZBYTKOWSKI.

A tym czasem staraj się przypomniéć więcéj podobnych frazesów, będą one ci potrzebne w trakcie dzisiejszéj biesiady. Hola! jest tam który? (*lokaj wchodzi*) nakryjecie do stołu w tym salonie, i niech ten przybylec ani na krok nie wydala się z przedpokojów. (*do Wesołuchy.*) O! i ty tutaj? tém lepiéj—jak pan Prokopowicz przyjedzie, powiedz mu aby natychmiast do mnie przyszedł, będę w gabinecie.

(*Zbytkowski odchodzi drzwiami na lewo, lokaj głębią*).

B o g u m i ł. (*czyta*).

„Antosia bardzo chora, (*mówi*) Ah! (*czytając dalėj*) ale nie trwóż się tém bardzo, daj nam trzy dni czasu, bądź uległym, zgadzaj się na wszystko; Antosia chce żebym cię ratował, i chociaż nie widzę środka na ocalenie cię przed zemstą zagniewanego Pana, potrafię jednak wyjednać ci wolność.“

Miłowicz.

(*mówi*) Kto ci oddał tę kartkę?

W e s o ł u c h a.

Jeden z ludzi którzy cię tu przyprowadzili skrępowanego. Ten człowiek nagadał mi takie rzeczy o panience, że mi się na łzy zebrało.

B o g u m i ł.

Więc ten człowiek widział się z nią, z panną Antoniną?

W e s o ł u c h a.

Cicho, cicho, mogą nas podsłuchać. Nie tylko że się z nią nie widział, ale nawet nie zna jéj. W pół drogi, jakiś jegomość dognał was, gdy cię tu uprowadzali, oddał mu ten list, i przyrzekł znaczną nagrodę gdy mu przywiezie odpowiedź.

B o g u m i ł. (*z gorżkim uśmiéchem.*)

Niechże mu odniesie odpowiedź: że serce mi pęka, jednak trzy dni jeszcze mi pozostaje, do przygotowania się na śmierć.

W e s o ł u c h a.

A przez te trzy dni?

B o g u m i ł.

Zniosę wszystkie katusze, jednak żyć będę.

W e s o ł u c h a.

To dobrze paniczu, bardzo dobrze, bo samòbójstwo to ciężki grzech, kto w niego wpadnie już się nie poprawi; na inne grzechy, przynajmniéj mamy pokutę—i dla tego ja, kiedy mię ten niegodziwiec Zbytkowski oszukał, postanowiłam nie umierać, ale żyć; w prawdzie na gorsze mi to wyszło, ale przynajmniéj zawsze myślę o poprawie. Ale dość téj gadaniny; idź Pan do mego pokoju, odpocznij sobie, i bąć dobréj mysli. Kiedy Pana taka zacna Panna jak Prezydentówna kocha, a przytém słyszałem że ma być i bardzo ładna, to można sobie żartować ze wszystkiego.

B o g u m i ł.

To prawda, że miłość takiéj kobiéty, to skarb! to szczęście! ale ja nie dla niéj, ona nie dla mnie.

W e s o ł u c h a.

Jak tam daléj będzie to nie wiém, ale chcę wam bydź pomocną, choćby na złość temu hultajowi Zbytkowskiemu. Ptaszek! chciałby żeby wszystkie kobiéty były tak głupie jak ja, i Pani Prezydentowa. Prokopowicza słyszę, idź pan, idź, dosyć cię jeszcze namartwią i nagryzą, (*Bogumił odchodzi na prawo*).

S C E N A V.

Prokopowicz. Dzierżyński i Wesołucha.

P r o k o p o w i c z. (*za sceną*).

Zawołajcie mi mojego chłopaka. Pupka! Pupka!

WESOŁUCHA.

Już go licho niesie, już wrzeszczy i hałasuje, szkoda że gdzie po drodze karku nie złamał.

PROKOPOWICZ.

Proszę Pana daléj, bez ceremonij. P. Romuald jedyny chłopiec! jak się masz Wesołucha? Goście jeszcze we dworze?

DZIERŻYŃSKI. (*sapiąc.*)

Śliczny pałacyk! ależ wysoko, wysoko! mieszkanie jak na wieży.

PROKOPOWICZ.

To kaprys nioboszczki matki Romualda, a wiadomo Panu że w testamencie położyła, aby nic nie źmieniano w dobrach jéj posagowych.

DZIERŻYŃSKI.

Wiém, wiém, P. Zbydowski może wszędzie dowolnie się rozporządzać, wyjąwszy matczynnych majątków.

PROKOPOWICZ.

Cyt... czy Panu djabeł dyktuje te słowa, czy Pan o tém nie wiész że dawność zaszła.

DZIERŻYŃSKI.

Jaka dawność? toż to byłem przecie exekutorem testamentu, i wiém bardzo dobrze, że jeszcze lat 25 nie upłynęło, po którym to upływie czasu, wolno wejść W. Zbydowskiemu w samodzielne władanie dóbr matczynnych.

PROKOPOWICZ.

Otóż Dobrodzieju, trzeba o tych bredniach testamentowych zapomnieć, trzeba ażeby była da-

wność; bo P. Zbydowski się żeni, i w dobrach potrzebuje porobić restauracje, najprzód: to stare domostwo drewnianne, zwalémy; a na to miejsce postawiémy inny ładny pałacyk, i t. d.

DZIERŻYŃSKI.

Hm... w tém niéma nic pilnego, latek 4—5 przeminą ani się obejrzeć; i wówczas.

PROKOPOWICZ.

I wówczas może wszystko djabli wezmą! jeżeli to prawda co mi Romualdek nagadał powróciwszy od Prezydentów. Chłopak powiadam Panu zgryzł się okropnie, wysłał mię po Pana natychmiast, widać więc że mu pilno potrzeba pańskiéj rady i pomocy. Chodźmy do gabinetu Romualdka.

WESOŁUCHA.

A idźcież Panowie prędzéj, bo Pan czeka niecierpliwie.

PROKOPOWICZ.

Oj ty czeczotko, tobie nie bardzo na rękę że pan się żeni—hę?

WESOŁUCHA.

A niech się żeni kiedy mu tak pilno, ale czy panna go zechce? jak się dowiedzą że przeszastał za granicą ojcowski majątek.

PROKOPOWICZ.

Głupiaś!

WESOŁUCHA.

Głupiaś, albo nie głupiaś, nam obojgu na tém podobno wiele zależy, aby się P. Romuald nie żenił. I panu tutaj wygodnie siedziéć, spijać, zajadać, i nic nie robić.

PROKOPOWICZ.

Co to za złośliwa bestyjka, a gniewać się na nią nie umiem. Powiadam ci panie Dzierżyński, my tu z Romualdem, jak powrócił z zagranicy, żyjemy jak w raju! wszystkiego lusztyk. Ah! otoż on, do djabła! jaki blady, co jemu jest?

SCENA VI.

CIŻ SAMI i ZBYTKOWSKI.

ZBYTKOWSKI. (*już podochocony.*)

Gdzie on jest? a! to ty Prokopowicz, Panie Dzierżyński, czy przywiozłeś z sobą kopję testamentu matki?

DZIERŻYŃSKI.

Zawsze jestem na rozkazy pana mego Dobr:

ZBYTKOWSKI.

Bez tych Dobrodziejów. Masz papiéry, czy nie? ze mną trzeba po prostu, po przyjacielsku; zabawisz się z nami, poweselisz, a potém pomówiémy o interesach.

DZIERŻYŃSKI.

Ja Panie Dobr: po staremu, zawsze staję i do wypitéj i do wybitéj.

ZBYTKOWSKI.

To dobrze, będziemy dzisiaj hulać do upadłego.

PROKOPOWICZ. (*ns.*)

Co ty gadasz Romualdzie? nie poznaję cię.

ZBYTKOWSKI.

Co?

Prokopowicz.

Jesteś blady aż strach spojrzéć, a język w gorączce?

Zbytkowski.

Chcę dzisiaj do ciebie być podobnym, pić jak ty pijesz.

Prokopowicz.

Ty pić? Ha, ha, ha! chyba wino z wodą.

Zbytkowski.

Zobaczysz, czekając na was teraz w moim gabinecie, palnąłem 4 kieliszki koniaku. (*do Wesołuchy*) Chodź tu dziewczyno, prawda? widziałaś jakem pił koniak?

Wesołucha. (*przestraszona.*)

Aha... tak.

Zbytkowski.

Jak mię kochasz! przynieśże nam jeszcze koniaku, i niech goście nie czekają z wieczerzą.

Prokopowicz. (*do Wesołuchy.*)

Czy on doprawdy pił koniak?

Wesołucha. (*głośno.*)

Alboż ja wiém. (*odchodzi na prawo*).

Zbytkowski.

Cóż cię tak zadziwia że piłem wódkę, alboż ty jéj nie pijesz?

Dzierżyński.

Mówi przysłowie: Kto wódki nie pije, ten nie żyje.

Prokopowicz.

Ale Pan Romuald znanym jest ze swojéj wstrzemięźliwości. Lubi się bawić, lubi kiedy wszystko co

go otacza jest wesołe, ale sam jak mnie widzicie żywego! nigdy...

Zbytkowski.

Bredzisz, już to mój kochany Prokopowicz zawsze oskarża mię o arystokracją i pańskie fumy.

Prokopowicz. (*cicho.*)

Romualdzie! co wyrabiasz? czemu lepiéj nie pomówiémy o interessie, gdzie ten człowiek?

Zbytkowski. (*głośno.*)

A jaki nieznośny jesteś, niby to Książe przestaje bydź człowiekiem; i my mamy wady i ułomności wam równe.

Wesołucha. (*wnosząc koniak.*)

Panowie już wracają z polowania.

Zbytkowski.

Daléj! żywo! służba! stoły zastawiać, wina co najwięcéj i co najlepszego.

Prokopowicz. (*cicho.*)

Romualdzie, upijemy się jak zawsze we dwojgu to dobrze; ale tu, daj pokój; co z tobą się dzieje?

Zbytkowski.

Nie nudź mię proszę twojém kazaniem. Witam z powrotem, cóż! dużo mamy zwierzyny?

SCENA VII.

Ciż, P. Józef. P. Zdzisław, i 6-ciu innych panów z sąsiedztwa. Służba wnosi stoły.

Zdzisław.

Ah! przepraszamy cię panie Romualdzie, że tak dziarsko przetrzebiamy twoje lasy.

P. Józef.

Skończy się to wszystko, jak się P. Romuald ożeni.

Zbytkowski.

Ale nim to nastąpi, możemy jeszcze pohulać po kawalersku, héj! wina. (*wypija wódkę.*)

Zdzisław.

Co u licha! Książe pijesz wódkę, z kądże się to wzięło? pogardzałeś tym trunkiem.

Zbytkowski.

Spytajcie się Prokopowicza, on wam na to lepiéj odpowie. Kiedy jestem w dobrym humorze, nie pogardzam niczém; a dzisiaj moi przyjaciele i kochani sąsiedzi, nie będziecie się użalać na mnie, bo nie ustąpię żadnemu z was, nawet Prokopowiczowi! nawet Dzierżyńskiemu! który powiada: że staje i do wybitéj i do wypitéj. Wesołucha! léj wina. Cóż to służba dziś tak leniwie idzie? gdzież mój nowy pokojowiec? (*wypija wino.*)

Wesołucha.

(*nalała wino, i odbiega na prawo.*)

Józef. (*ns.*)

Od roku jak się znamy, piérwszy raz widzę Księcia w tak dobrym humorze.

Prokopowicz. (*ns.*)

Nie poznaję Romualda, lecz kiedy on sobie pozwala, i ja mogę.

Zbytkowski.

Trzeba wam wiedzieć panowie, (*podczas tego opowiadania, stoły już powinny być po zastawia-*

ne, *i Wesołucha wprowadziła Bogumiła który staje w głębi*) że dziś miałem zabawną scenę, która mię wprowadziła w tak dobry humor, jak gdybym był na najlepszéj komedji w Theâtre Français, a co najważniejsza, że i ja w téj komedji nie najgorszą zajmuję rolę.

ZDZISŁAW.

Zaostrzasz naszą ciekawość.

JÓZEF.

Zmiłuj że się opowiedz, pragnę podzielić wesołość?

WSZYSCY.

Słuchamy—opowiadaj!

ZBYTKOWSKI.

Dobrze, ale w antraktach niech bufet nie próżnuje. Węgrzyn stary, naprzód!

ZDZISŁAW.

Do djabła! zaczynasz od wetów.

ZBYTKOWSKI.

Darujcie mi, jestem już cięty, i chcę was porównać z sobą; a zatém wasze zdrowie! (*piją*) A gdzież mój Valet de chambre? (*ogląda się w około, i dostrzega Bogumiła*). A! jest.

ZDZISŁAW.

No, cóż? owe zdarzenie.

ZBYTKOWSKI.

Zaraz, panie Dzierżyński! nie spełniłeś kielicha; za karę pij drugi. (*do Prokopowicza cicho*) patrz tam, to on! pilnuj go.

PROKOPOWICZ.

Aha!

Zbytkowski.

Otóż dzisiaj ekonom z Miedza-goły, dostawił mi nieproszony zbiega, który podobno, kiedyś... wiele złego we wsi nabroił i zemknął.

Józef.

I to Księcia w tak dobry wprowadziło humor?

Zbytkowski.

Jakżeś niecierpliwy, pij, i patrz końca. Wyobraźcie sobie panowie moje zadziwienie, kiedy w skrępowanym jeńcu, poznaję dobrze mi znajomego młodzieńca, *un homme distingué!* który śmiał nawet ze mną rywalizować.

Zdzisław.

Tam do diabła! gdzie? w Paryżu.

Zbytkowski.

Gdzie tam w Paryżu, tu, u nas w sąsiedztwie. Nasza płeć piękna emancypuje się i przewyższa Paryżanki. Na honor! panowie powiadam wam, jeżeli który zamyśla się żenić, niech przywdzieje liberję swego fagasa.

P. Józef.

Do pioruna! Panie Romualdzie, to żarcik trochę lakoniczny.

Zdzisław.

Gdybyś powiedział: sprzedajmy nasze posiadłości, a przemieńmy się we włóczących jakich artystów, co to brżdąkają na fortepjanie, dudlą na skrzypkach, albo niby malują sylwety, tobym przystał na twoje zdanie — ale liberja, fe!

PROKOPOWICZ.

Ot! bredzi Bóg wié co, za wiele pił węgrzyna.

ZBYTKOWSKI.

Parole d'honneur że mówię prawdę. Bo oto, ten tu chłystek, zagarnął mi serduszko mojéj narzeczonéj.

WSZYSCY.

Żarty! cóż znowu? improwizujesz.

ZBYTKOWSKI.

Ubliżacie mi waszém niedowiarstwem. Chodźże tu Duda! i daj sam świadectwo.

PROKOPOWICZ.

Jak się nazywa?

ZBYTKOWSKI.

Duda.

WSZYSCY.

Ha, ha, ha!

ZBYTKOWSKI.

Smiejecie się że panna Antonina Szumińska, córka naszego kochanego Prezydenta, najlepszego sąsiada! zakochała się w Dudzie — ale tylko przypatrzcie mu się dobrze, *il n'est pas mal.*

PROKOPOWICZ.

A! przeklęty Duda! no proszę, jemu do Prezesówien; nalewaj że mi durniu wina.

ZBYTKOWSKI.

Hola! on tylko odtąd mnie wyłącznie usługiwać będzie; a to przez wdzięczność, że mię wybawił od zaszczytnego tytułu: *le mari cocu!*

JÓZEF.

Wspaniała zemsta, ja nie byłbym tyle szlachetnym.

Zdzisław.

A jabym tak samo zrobił, będąc na miejscu Księcia.

Zbytkowski.

Pochwalasz mię Zdzisławie, to mię cieszy; i dla tego liczę na ciebie, że zechcesz mi towarzyszyć w piérwszéj wizycie do Myślina. Ciekawym jakie to sprawi wrażenie?

Józef.

Służemy ci wszyscy!

Wszyscy.

Niech żyje!! nasz kochany Zbydowski.

Zbytkowski.

Wiém że mi wszyscy sprzyjacie, dla tego téż w waszém wesołém gronie, chcę zagłuszyć i odurzyć nieco przykre i śmieszne wrażenie. Pijmy Przyjaciele!

Wszyscy.

Zdrowie Księcia Zbydowskiego! (*piją*) i jeszcze raz jego zdrowie!

Prokopowicz.

Omne trinum perfectum—jeszcze raz jego zdrowie! (*wszyscy piją wyjąwszy Zbytkowskiego, który od niejakiego czasu całkiem przestał pić*).

Zbytkowski.

Pijcie, pocieszajcie, kochajcie mnie! przyjciele, bo rzeczywiście zasługuję na waszą życzliwość; oh! jestem bardzo nieszczęsliwy. (*zasłania twarz.*)

Zdzisław.

Cóż znowu łzy!

PROKOPOWICZ.

Dajże pokój Romualdzie, pluń na to wszystko.

JÓZEF.

Pomściémy się za ciebie wszyscy. Panowie, słowo!

WSZYSCY.

Słowo honoru!

ZDZISŁAW.

W piekło pójdziemy za tobą!

PROKPOWICZ.

I w ogień i w wodę! niech żyje nasz Romuald! (*piją*).

WSZYSCY.

Niech żyje! (*toasty coraz częstsze.*)

PROKOPOWICZ.

Zdrowie naszych przyjaciół! (*do Bogumiła*) Nalewajże błaźnie swemu Panu.

ZBYTKOWSKI.

Zdrowie panny Antoniny.

PROKOPOWICZ.

Kochanki pana Dudy!

WSZYSCY.

Ha, ha, ha!

ZBYTKOWSKI.

Czemuż to nie pijesz? pozwalam, wypij zdrowie ulubionéj, pijże! ja ci każę.

BOGUMIŁ. (*chce się usunąć*).

WESOŁUCHA. (*nieznacznie podchodząc*). Pomnij, trzy dni.

PROKOPOWICZ.

Po pijanemu zabawna mi myśl przychodzi do

głowy, Romualdzie! — ożeńmy teraz tego cymbała z Wesołuchą!

W s z y s c y.

Brawo! brawo! myśl wyborna—ha, ha, ha! wiwat Prokopowicz.

Z d z i s ł a w.

Daję 300-sta rubli na gospodarkę.

J ó z e f.

Ja 500-set.

1. z G o ś c i.

My po 200-cie.

W s z y s c y.

Zgoda, zgoda!

D z i e r ż y ń s k i.

Wyjąwszy mnie.

W s z y s c y.

Ha Palestrant! skąpiec!

B o g u m i ł.

O ludzie! ludzie!

W e s o ł u c h a.

Ja kocham tylko Pana.

Z b y t k o w s k i. (*udając pijanego*).

Przyprowadźcie ich tu przede mnie—jestem feudalnym panem—chcę widzieć narzęczonę.

(*hałas coraz większy wzmaga się*).

P r o k o p o w i c z.

Panna Szumińska rozpłynie się we łzach, jeżeli utraci swego Dudę.

B o g u m i ł. (*wyciągając pistolet wszyscy się roztępują*).

Słuchajcie! piérwszy który z lekceważeniem

wymówi nazwisko Antoniny, padnie trupem w pośród tych butelek. A potém prowadźcie mię na rusztowanie.

W s z y s c y.

Zbójca! rozbójnik!

Z b y t k o w s k i.

Hola! panowie! uspokójcie się. Kto grozi, ten nie zabija, a my nie ubliżajmy sobie, wdając się z nim w rozprawy.

D z i e r ż y ń s k i.

Daj waść pokój—złóż broń, bo tém tylko pogorszysz swoją sprawę.

B o g u m i ł.

Dziękuję Panu za przestrogę, w tém pijaném kole, my może dwaj tylko trzeźwi.

Z b y t k o w s k i. (*ns.*)

Mylisz się, jest ktoś trzeci między wami.

B o g u m i ł.

Bądź mi pan więc świadkiem, że z mocą duszy, wytrzymuję wszystkie moralne cierpienia; i jeżeli wzniosę na siebie samobójczą rękę, to przedzgonem chcę abyście wiedzieli: że tén człowiek który mi urąga, i poniewiera imie zacnéj Panny, jest oszczercą, jest podłym! bo mści się za to tylko na niewinnéj, że jego zaloty odepchnęła ze wzgardą.

P r o k o p o w i c z.

Zamilcz, albo tak ci gębę zamaluję że już więcéj ani piśniesz. (*wydziera z rąk pistolet Bogumiłowi*).

Z b y t k o w s k i.

Dozwól mu mówić, on mię bawi.

PROKOPOWICZ.

To niechże kiep dla naszéj satysfakcyi pije, i zaleca się do Wesołuchy; bo jakém Prokopowicz i odstawny Porucznik, za trzy dni muszę poskakać na ich weselu.

ZBYTKOWSKI. (*niby pogrążony w myślach*). Zmuszać go niechcę, bo byłem świadkiem jakie skutki pociąga za sobą małżeństwo z musu. (*udając że pije spogląda ciągle na Bogumiła.*) Rodzice pewnéj Panny, zmusili ją wejść w ślubne związki z człowiekiem którego nie kochała; otóż w lat kilka po ślubie zjawił się przyjaciel p. męża, a dawny kochanek panny, i w nagrodę położonego w nim zaufania, korzystając z nieobecności męża, którego interessa lat kilka wstrzymywały za granicą, z przyjaciela domu... zostaje szwagrem.

WSZYSCY.

Ha, ha, ha!

ZBYTKOWSKI.

Prawda że to bardzo pospolita historja; ale słuchajcie jakie zakończenie: Mąż powraca, niczego się nie domyśla, bo z kądże mógł powziąść podejrzenie, kiedy przyjaciel domu, nie wiedząc nawet że został ojcem, zniknął od dawna; a jego synalek powierzony opiece pewnego księdza do lat 4-ch hodował się bezpiecznie pod okiem matki. Aż traf otworzył oczy nieszczęsnemu małżonkowi. W tedy w uniesieniu gniewu zabił Księdza, chciał zabić żonę, ale siły mu nie wystarczały i... oszalał!

JÓZEF.

Wypadek tragiczny.

PROKOPOWICZ. (*cicho*).

Romualdzie tyś na serjo pijany, zdradzasz się.

ZBYTKOWSKI.

Kobiéta nie przeżyła tyle dolegliwych ciosów, umarła w kilka lat po śmierci obłąkanego męża.

ZDZISŁAW.

A cóż się stało z owocem jéj występnéj miłości?

ZBYTKOWSKI.

Niewiadomo, głęboka tajemnica pokryła cały ten wypadek.

DZIERŻYŃSKI.

Starzy ludzie wiedzą jednak coś o tém: bo wiém z pewnością, że metryka nieprawego dziecięcia została wykradzioną z parafjalnego kościoła, a na tomiast podrobiono inną i do tego użyty był pewien....

ZBYTKOWSKI.

A bodajcie prawniku szanowny, z twoją pamięcią lokalną.

PROKOPOWICZ. (*cicho*).

Do wszystkich djabłów, Romualdzie co wyrabiasz?

ZBYTKOWSKI.

Kiedy znasz cały ten wypadek to opowiedz go nam dokładniéj, bo mi wino pomięszało krokiewki w głowie. Ale idę w zakład z tobą prawniku o 3 tysiące rs. że nic nie wiész.

PROKOPOWICZ. (*niecierpliwie*).

Bodajżeś przepadł!

DZIERŻYŃSKI.

Aha! (*domyślając się*) lubię zakłady, ale zakłady grube.

Z b y t k o w s k i.

A zatém, idzie o pięć tysięcy że tyle wiész o tym wypadku co i ja. —

D z i e r ż y ń s k i.

Jeszcze daleko do końca, tak jestem pewny swego że poszedłbym w zakład o 20-cia tysięcy; cóż idziesz?

W s z y s c y.

Czyście powarjowali! taki zakład.

P r o k o p o w i c z. (*cicho*).

Pijaku idź spać. (*głośno*) Oto trunek co wyrabia ze słabémi głowami, gotowi dla głupstwa pójść w zakład o życie!

Z b y t k o w s k i. (*cicho do Prokopowicza*).

Nie zawsze ten pijany co pije, zrozumiałeś?

D z i e r ż y ń s k i.

Aha! 20-cia tysięcy przestraszyło Pana.

Z b y t k o w s k i.

Wyznaję—to trochę za gruby zakład, o 10-sięć poszedłbym.

J ó z e f.

Szaleńcy! to tylko w Anglji można się podobnie zakładać.

D z i e r ż y ń s k i.

20-cia, albo nic.

Z b y t k o w s k i.

Bawiłem dość długo w Londynie, i pewnego razu poszedłem w zakład z Lordem Sutampton na wyścigach o 15-cie tysięcy rs.—grubiéj nigdy nie gram.

DZIERŻYŃSKI.

Piękna stawka, ładny grosik, żałuję że nie mogę go capnąć.

ZBYTKOWSKI.

Co, rejterujesz?

DZIERŻYŃSKI.

Jak sobie podochocę, to szedłbym w zakłady o życie; ale cóż kiedy wino to i pamięć odbiéra, i gębę zamyka. Choćbyście mię panowie porznęli na sztuki, to mógłbym to tylko powiedzieć że słyszałem cóś o tym wypadku, jak o żelaznym wilku; dobrze i pośmiać się trochę, ale nie chodzić chudopachołkowi w zakłady z panami.

ZBYTKOWSKI.

Wybornyś Dzierżyńsciu! palnij że jeszcze wina kieliszek.

DZIERŻYŃSKI.

Daj Pan pokój już i tak w głowie szumi, poprzestaję na 15-stu kieliszkach, a to był by szesnasty.

JÓZEF.

A! tchórzu przeklęty, a mówiłeś że jesteś i do wibitéj i do przepitéj.

DZIERŻYŃSKI.

Słowo wiatr, kto tam zważa na słowa.

ZBYTKOWSKI.

Argument piękny, bodaj cię prawniku z twémi konceptami; uściskaj mię za to, i bądźmy przyjaciółmi (*sciskając Dzierżyńskiego cicho*) jutro rano wydam oblig na 15-cie tysięcy, ale milcz.

Dzierżyński. (*tak samo*).

Milczę i milczeć będę.

Zbytkowski. (*głośno*).

Kochany! wybornyś! Dzierżyńsiu, ze swémi zarcikami.

Dzierżyński. (*głośno*).

Ja zawsze stoję, i do wybitéj i do wypitéj.

Zbytkowski.

Ale Prokopowicz cóś nam zgłupiał, mało piłeś, czy co poruczniku? no Panowie! staro dawny kielich: Kochajmy się!

Wszyscy.

Kochajmy się!

Prokopowicz. (*sciskając Zbytkowskiego*).

Co ty wyrabiasz?

Zbytkowski. (*cicho*).

Ubiłem dwa ptaki za jednym wystrzałem, Duda niczego się nie domyśla, a Dzierżyński wie tylko o metryce i testamencie.

Prokopowicz. (*głośno*).

Wiwat! P. Romuald!

Zbytkowski. (*głośno*).

Wiwat Prokopowicz!

Prokopowicz.

Kto śmie utrzymywać że Prokopowicz pić nie umie? na dowód, cała butelka w gardło (*pije*).

Bogumił. (*ponuro*).

O nędzo! nędzo ludzka!

Prokopowicz.

A ty trutniu czego się odzywasz do Panów?

Z B Y T K O W S K I.

(*stojąc na przeciw Bogumiła*).

Mam litość nad tobą, i dozwalam ci odejść; jutro postanowię o twoim losie, a teraz idź spać. (*do służby*) Odprowadzić go do zielonego pokoju, obok mego gabinetu, ale zamknąć drzwi na klucz żeby nie zemknął.

P R O K O P O W I C Z.

Dali-Bóg Romualdzie to głupstwo, traktujesz chama jak panicza.

Z B Y T K O W S K I.

Zapominacie że ma zaszczyt być moim rywalem, i mało że nie został szwagrem.

B O G U M I Ł.

Panie! postępuj ze mną jak chcesz, rób jak chcesz, ale szanuj kobiétę którą kochasz.

W S Z Y S C Y.

Ha, ha, ha!

B O G U M I Ł.

Śmiejcie się, śmiejcie, jeżeli wino zagłuszyło w waszych sercach wszelkie współczucie, jeżeli zamieniło was w bezrozumną tłuszczę.

Z B Y T K O W S K I.

Mój Panie tragiczny lokaju, nie znieważaj mi gości, bo bym mogł cię ukarać. Odprowadźcie go gdzie mówiłem; w oknie krata to, nie zemknie, a jutro zobaczémy! (*służba otacza Bogumiła*).

D Z I E R Ż Y Ń S K I.

Czy się pan nie obawiasz tego człowieka?

Z B Y T K O W S K I.

Jeżeli nie zmieni swojego sposobu myślenia, po-

staram się aby go poddać zasłużonéj karze. Widzieliście sami że się targnął na moje życie (*ukazując pistolet*) oto corpus delicti!

W s z y s c y.

Słusznie, słusznie!

B o g u m i ł. (*we drzwiach*).

Stwórco świata! jakiemuż szatanowi w moc mię oddałeś! (*odchodzi*).

W e s o ł u c h a. (*ns.*)

Choćbym miała się utopić, muszę ratować biédaka! pojadę sama do Myślina, ostrzegę tę biedną panienkę. Poczekaj zwodzicielu! nawarzę ci piwa. (*wybiega głębią*).

SCENA VIII.

P r o k o p o w i c z.

Aż mi lżéj na sercu że nie widzę już tego urwisa, odeszlij go panie Romualdzie gdzie-kolwiek bądź do wszystkich djabłów! albo ja się z tobą pożegnam.

D z i e r ż y ń s k i.

No proszę, porywać się do pistoletu, nosić broń palną przy sobie; to straszny człowiek.

Z d z i s ł a w.

Oddać go w rekruty i basta.

Z b y t k o w s k i.

Tak panowie! zgoda na wasze żądanie, ale nie piérwéj aż ten człowiek posłuży mi za narzędzie

do zemsty. Panna Antonina musi być ukaraną, ukaraną dla przykładu innych panien.

W s z y s c y.

Zgoda, zgoda!

Z b y t k o w s k i.

Szampan naprzód! (*piją*) I oto mój plan: żem dotknięty okropnie, że mam słuszną urazę, toście widzieli wszyscy, ale tego nie dosyć, wasze świadectwo panowie, mało będzie stanowić bez potwierdzenia dam; potrzeba więc abyś ty Zdzisławie który najliczniejszą masz familię, wydał u siebie nie dalej jak za 3 dni wielki festyn, Bal, pik-mik, lub co chcesz, byleby tylko znajdowało się na nim wszystko co tylko jest najzacniejszego w naszéj gubernji. Wtedy ułożémy efektowną scenę, ugalonowany kochanek panny Antoniny wystąpi z półmiskiem w ręku, a reszta do was i do mnie należéć będzie.

Z d z i s ł a w.

Plan wyborny.

W s z y s c y.

Potwierdzamy go.

Z b y t k o w s k i.

Ale aż do balu, sza! usta zamknięte, a teraz dobranoc panowie, bo głowa prosi o poduszkę.

Z d z i s ł a w.

Dobranoc, nie zobaczémy się prędzéj aż za 3 dni, bo jutro już każdy powinien być w domu: ja odjeżdżam natychmiast.

DZIERŻYŃSKI.

Ale ja proszę o gościnność do jutra, gdzież mój pokój?

PROKOPOWICZ.

Na dole, obok innych goscinnych pokoi.

DZIERŻYŃSKI.

A zatém panowie służę wam.

PROKOPOWICZ.

Co u licha! zaczekaj prawniku, jeszcze po kielichu: kiedy pić, to pić.

DZIERŻYŃSKI.

Nie zapomniałem, wypiłem ich 15-cie... po ekonomsku.

PROKOPOWICZ.

Co on plecie? golnął ich ze 40-ści (*ujmując się pod boki*). Zaczekaj no wasze, rozmówiemy się ze sobą.

ZBYTKOWSKI. (*porywa go za rękę*).

Ani kroku, bo cię z duszę. (*głośno*) Dobra noc, dobra noc panowie. (*wszyscy się rozchodzą, jedni spiéwając, drudzy śmiejąc się, drzwiami w głębi, Dzierżyński w pośrodku nich*).

PROKOPOWICZ.

Wyraźnie nazwał mię ekonomem, ten pijany bałwan.

DZIERŻYŃSKI. (*we drzwiach*).

Uderz w stół, nożyce się odezwą.

PROKOPOWICZ. (*wściekle*).

Co!!

DZIERŻYŃSKI.

Dobra noc.

Zbytkowski. (*za odchodzącémi*).

Ostrożnie idźcie po schodach, bo wszyscy maszerujecie jakoś w zyg—zak. Tomaszu! przytrzymuj pana Józefa, tylko co się nie przewrócił.... I kandelabr wypadł z ręki! do licha! nie podpalcie tylko schodów! (*wracając na przód sceny*) Czy jeszcze ci mało pijaku!... awanturniku?...

SCENA IX.

Prokopowicz, Zbytkowski.

Prokopowicz.

Tak, mało piłem do wszystkich djabłów! bo chcę się zagłuszyć, ten tłusty pień przypomniał mi moje ekonomowstwo i to mię boli.

Zbytkowski.

A mnie nie boli, że w jednéj chwili mogę spaść z téj wysokości na któréj stoję, i zostać prawie żebrakiem?

Prokopowicz.

Co pleciesz, jeżeliś przemarnował ojcowski majątek, to cztéry razy tyle zostaje ci po matce.

Zbytkowski.

Po matce!!! ah! głupi trutniu. Matka zapomniała o piérworodnym synie, a myślała tylko przy zgonie o tym, któregoście z Dzierżyńskim do chrztu trzymali, którego metrykę kazałem ci wykraść.

Prokopowicz.

No i cóż z tąd? tamtego już i śladu niéma,

ksiądz którego twój ojciec sprzątnął, zapakował swego wychowańca tak, że o nim ani słychu, ani duchu.

Zbytkowski. (*dziko*).

Dobrze mówisz zacny mój mentorze, którego z ekonoma wyniosłem do godności przyjaciela. Pijmy, pijmy! mój zacny przyjacielu, tak jak piliśmy po pogrzebie mojéj matki; wtedy młodzieniaszkowi przebiegła po głowie piekielna myśl, ale wtedy ta myśl niedojrzała jeszcze, łączyła się z honorem matki! (*śmiejąc się dziko*) ha! ha! ha! matka powierzała synowi tajemnicę serca! nakazywała mi szukać brata... a on był tak blizko niej, i nikt o tém nie wiedział; ani ona, ani nikt, ani ja! aż do wczoraj... pijmy przyjacielu! (*wypija duszkiem szklankę jedną i drugą wina*) teraz nie widzą nas i możemy pić na prawdę.

Prokopowicz.

Czy cię djabli opętali Romualdzie, czyś rozum stracił? czyś oszalał jak twój ojciec?

Zbytkowski. (*groźnie*).

Trutniu! nie wymawiaj, nie znieważaj tego słowa ojciec! on jeden mię kochał; do mnie należy bronić jego honoru! tak, tak, precz z sumieniem, precz ze związkami krwi... pomsto ojca, moją rzeczą.

Prokopowicz.

Ale na kimże chcesz się mścić?

Zbytkowski. (*prawie bezprzytomny.*)

Trzy litery powiedziała matka konając. Te 3 krwawe z głoski widziałem na ramieniu tego... więc

to on! ukochany Beniamin mojéj matki!... Bóg czy czart postawił go na mojéj drodze, nie wiem, ale jeden z nas dwóch ustąpić musi. Ah! gdybym znał jego ojca! gdybym mógł wiedzieć gdzie ten stary zbrodzień przebywa? jak się zowie? ale nie wiem... nic nie wiem!... matko, czemuż nie skonałaś z tajemnicą dla mnie, jak dla świata, byłbym teraz spokojny, byłabyś oszczędziła synów . . . a teraz . . . (*widząc że Prokopowicz usypia*) wyjdź z tąd, chcę być sam!

PROKOPOWICZ.

Czego chcesz?

ZBYTKOWSKI.

Wyjdz, mówię ci: nie lubię mieć świadków rozpaczy.

PROKOPOWICZ.

Pięknie mówisz, słusznie, daj mi tylko światła. (*bierze kandelabr*) pfu! jak w głowie kręci... a to wszystkiemu winien ten bałwan fagas, i Dzierżyński którego zbiję na kwaśne jabłko (*wychodzi słaniając się: wkrótce słychać łoskot jak gdyby stoczył się po schodach*).

SCENA X.

ZBYTKOWSKI. (*sam*).

Czém jestem, a czémże zostanę?... Dla podtrzymania honoru domu, dobijam się ze szwankiem osobistéj godności, o tytuł księcia... a może jedna niezręczność, jedno niebaczne słowo, zamieni mię

mię w żebraka... To on, on jest tam, wydrze mi wszystko, jak mi wydarł Ojca! serce matki! jak mi wydarł miłość Antoniny! którą będę posiadał, muszę; ah! jak mi głowa pęka (*pauza*) zawiele piłem.... uczuwam jakiś swąt,... dym... (*siada*) Matko!... kto cię nakłonił do wyznania okropnéj tajemnicy... Ten mię sądzić będzie... ah! jak mi słabo... duszno... (*przez roztwarte drzwi w głębi, widać coraz bardziéj wznoszące się kłęby dymu*) Matko! nie karz mię, nie patrz tak na mnie że pokrzywdziłem brata... Antonina go kocha... więc on szczęśliwy a ja!... ah męki (*za sceną powstaje, zgiełk a po chwili krzyk ogólny „Gore!!!*) Gdybym mógł powstać.... Matko nie przytrzymuj mię,... matko, litości! łaski! miłosierdzia! Ja chcę jeszcze żyć!!...

SCENA XI.

ZBYTKOWSKI. BOGUMIŁ.

BOGUMIŁ. (*wbiega z lewej strony*).

Pożar! pożar!

ZBYTKOWSKI. (*marząc*).

Pożar! więc i on spłonie... on tam... zamknięty....

BOGUMIŁ.

Nędzniku! potrafiłem siłą mego ramienia wysadzić drzwi, ale patrz, patrz, schody płoną, ogień ogarnął tamte pokoje, wstańże, mów, którędy uciekać?!...

Zbytkowski.

Oh głowa moja, głowa!...

Bogumił.

Czy słyszysz? płomienie już tu dochodzą, słyszysz te wrzaski?

Zbytkowski.

Matko, łaski!... miłosierdzia!...

Bogumił. (*biegnąc do okna*).

Ah! ten tylko środek ocalenia, ale jak wysoko! co tu począć? ratunku! pomocy! dawajcie drabinę! Nikt mię nie słyszy (*przebiegając z rozpaczą pokój, spostrzega leżące sznury któremi był skrępowany na początku aktu*). Ah! te sznury, węzły krwawe, one mię ocalą (*robi na prędce drabinę sznurową, zwiesza ją przez okno przytwierdzając do ramy*) tak potrafię się ocalić..., ale on, bezprzytomny, któż jego ocali? trunek pozbawił go przytomności umysłu, a dym oddech odbiéra (*przyciąga z fotelem siedzącego Romualda do okna. obwiązuje go sznurem, poczém z największém wysileniem, bezprzytomnego sadzi na ramie okna usilując go zwolna spuscić, za sceną krzyki: Podawajcie drabiny! tu, prędzéj! do tego okna!*

Bogumił.

Ah! siły mię opuszczają! Boże Boże! ratuj mię! Antosiu.... Antosiu.... kocham cię (*pada omdlony na środek sceny, płomienie ogarniają niektóre sprzęty — zasłona spada*).

AKT CZWARTY.

(Skromny pokój na folwarku z trzema drzwiami. Pomiędzy 3-cim a 4-tym aktem upływa dzień jeden).

SCENA I.

PROKOPOWICZ PUPKA.

PROKOPOWICZ.

Uf! Hej Pupka! hej!..

PUPKA. *(z głębi.)*

A czego Jegomość wrzeszczysz; zaraz, zaraz!

PROKOPOWICZ.

Niech ich licho porwie! ani kropli romu we flaszce. Héj Pupka! zawołaj mi Wesołuchy!

PUPKA. *(wchodząc.)*

Czego Jegomość chce?

PROKOPOWICZ.

Ośle, nie ciebie, tylko Wesołuchy.

PUPKA.

Dobrze, zaraz.

PROKOPOWICZ.

Czekaj, nałóż fajkę, a! barabaszu przeklęty, służ lepiéj, bo oddam w rekruty. — Pan wrócił?

PUPKA.

Poszedł w ślad za panem Dzierżyńskim i za doktorem oglądać pogorzelisko.

PROKOPOWICZ.

Za jakim Doktorem?

PUPKA.

A jużcić za tym, co to przyjechał z Myślina z Panną Wesołuchą, co to narobił takiego rumoru ratując Bogumiła poparzonego.

PROKOPOWICZ.

A gdzież Bogumił?

PUPKA.

Jeszcze niedomaga, posadowili go tutaj na ganku i czeka na Pana.

PROKOPOWICZ.

Jakto? nikt go nie pilnuje, to zemknie podpalacz!

PUPKA.

Jest tam kupa ludu przy nim i pan ekonom i Marta przyjechała.

PROKOPOWICZ.

Aha przyjechała, każ jéj tutaj wejść z Bogumiłem, i ekonom Miedza-golski niech także tu wejdzie. (*Pupka odchodzi głębią.*) Z téj izby będę mógł podsłuchać ich rozmowy, a Romualda nakłonię aby się nie uwodził litością i oddał podpalacza, rozbójnika! pod sąd.

SCENA II.

Marta. Zacierski. Prokopowicz. Bogumił.

(*Ostatni bez wierzchniego odzienia, które zastępuje stary płaszcz narzucony. Rękaw od koszuli z prawego ramienia rozdarty.*

P u p k a.

Chodźcie tutaj. Jegomość woła.

M a r t a. (*kłaniając się do nóg.*)

Niech będzie pochwalony!...

P r o k o p o w i c z.

Jak się macie kobiécino. Pogadajcie tu lepiéj z synem bo chłopisko jeszcze chore, a ty panie Zacierski chodź ze mną, tylko przykaż ludziom żeby mieli na oku Dudę. Pupka! idź tam i powiedz (*pupka odchodzi głębią, Prokopowicz z Zacierskim do drzwi na prawo.*)

B o g u m i ł.

Jakże ty biédnie matko wygłądasz? mówisz że nasza chałupa się wali i wiatr wieje szparami; na cóżeś obracała piéniądze które ci dosyłałem?

M a r t a.

Wszystko zabierał pan Ekonom, strasząc że cię wynajdzie jeżeli nie dam, zabrał mi krówki, trzódkę, i nic nie zostawił, nic nie mam.

B o g u m i ł.

Niegodziwiec!

M a r t a.

Gdzieżeś ty bywał mój gołąbku. Ja nie wierzę temu co ludzie mówią, o co cię oskarzają! a

mówią żeś się porwał na pana, żeś wczorajszéj nocy dwór podpalił; mają cię odsyłać do turmy, prawdaż to?

BOGUMIŁ.

Prawda, wszystko prawda, kiedy chcesz wierzyć; a ciebie dla czego tu sprowadzono? aha! masz zaświadczyć żeś mi matką, krewną lub opiekunką?

MARTA.

A jużcić widno że dla tego. Oh! mój Boże czego to ja dożyła, czego doczekała?!... albożto ci źle było przy dworze. Pan pewno dobrze karmił, odziewał: nosiłeś piękne galony!

BOGUMIŁ.

Piękne moja Matko, ale bogdajby ich nikt nie nosił kto ma duszę wyższą nad poziom!... świeci się szychowy galon jak obroża na szyi murzyna, lub na psie legawym, z godłem: „To mój!!!“

MARTA.

Nie rozumiem co mówisz, ale kiedy taki los...

BOGUMIŁ.

Hm! los! niby to życie jest loterją?... Bóg powiedział „żyć!... a człowiek“ Depczmy po karkach, aby nam było wygodniéj wyżéj stanąć!! o! kobiéto powiedz mi gdzie są moi rodzice? jaki potępieniec nadał mi życie.

MARTA.

Chłopcze, upamiętaj się, co tobie?

BOGUMIŁ.

O! zamiera już pamięć, i krew w żyłach usta-

ję. Naprożno ścieram się z losem; zamknięto przedemną wszystkie drogi życia, wyrwano nawet nadzieję. Gdzież ten szanowny kapłan który się nami opiekował. . .

MARTA.

Ot przypomniał go sobie teraz! Umarł już od niepamiętnych czasów.

BOGUMIŁ.

Umarł, szczęśliwy! zazdroszczę mu téj ciasnéj trumny. . . . Dla czego on mię uczył? Dla czego powiedział mi: że religja uważa nas wszystkich za dzieci jednego Boga! Ty złe serce miałeś stary trupie, który teraz gnijesz; bo ja powolnie gniję za życia i wiem o tém że gniję.

MARTA.

Bogumiłku, mój synalku!

BOGUMIŁ.

Czy powiesz mi nareszcie z kąd mię wzięłaś, kto moim Ojcem?

MARTA.

Mój dobry Boże, wiesz przecie że Sobek mój brat, którego zdano w rekruty, przyniósł mi ciebie.

BOGUMIŁ.

A kto moja matka?

MARTA.

Miły Boże, mogęż ja wiedzieć.

BOGUMIŁ.

A kto mi wypiętnował te trzy litery, które wzrosły wraz ze mną; nie wiesz?

M a r t a.

Jużcić nie kto inny, tylko pewnie ojciec dla poznaki, bo zaraz wyruszył w drogę.

B o g u m i ł.

I nigdy się o mnie nie dowiadywał?

M a r t a.

Jakże się miał biédak dowiadywać, kiedy go podobnoć ubito na wojnie.

B o g u m i ł.

Dla czego więc nie wyrzuciłaś mię razem z tą wiadomością, za próg twojéj chaty, ażebym gdzie zamarł, albo żeby mię wilcy pożarli? Kto ci pozwolił piastować mię i karmić? Spodziewałaś się może że ci potém dam przytułek na twoje stare lata, że ci wynagrodzę trudy i podziękuję za życie? O! ty głupia, stara głowo; weźże szychowe galony, odziéj się niemi; one cię okryją, bo one ciężą, one krępują ducha, gniotą jak ołów!

M a r t a. (*płacząc*).

I dla czego mi złorzeczysz?

B o g u m i ł.

Ja ci nie złorzeczę, przebacz mi dobra kobiéto, a jeżeli mię kochasz, ubolewaj raczéj. Tu w sercu, w głowie, pali się wulkan, a moje słowa są to kamienie tego wulkanu i dla tego gniotą. Bądź mi jak dawniéj matką. Na twojém łonie może potrafię zapłakać, może zrozumiész te łzy i otrzesz je twoją zeschłą dłonią. Ona! tam, także tęskni... ona chora!... może umrze! O wielki Boże, lituj się nad nami!!

M a r t a.

Moj synalku! mój gołąbku! płacz, płacz, to ci lżéj będzie.

B o g u m i ł.

Tak, gdybym jeszcze umiał, mógł płakać: ale u mnie łzy wyschły i ogarnęło zwątpienie. Trąć w pusty garnek, wyda dźwięk, rozsypie się w kawałki, ale nie zwilży ręki co go rozbija. Bywaj zdrowa dobra kobiéto, już się może więcéj nie zobaczymy.

M a r t a.

Cóż zamyślasz?

B o g u m i ł.

Nie wiem, rozum i wola odstąpiły mnie; pójdę gdzie poprowadzą... może mi dadzą półmisek w rękę, i każą stać za krzesłem pana.... może odeszlą jako zbrodniarza w ciemny loch więzienia... albo może litość znajdzie przystęp do serca i każą wrócić do pługa. O! wtedy ucałuję rękę mego pana, upadnę mu do nóg i nazwę dobroczyńcą! siermięga nie upokarza, pług nie rumieni; ale ta odzież, ten pas szychowy lokaja, to piętno ludzkich słabości! precz z niemi, precz! ja oszaleję, ja umrę!... (*chce wyjść*).

S C E N A III.

Ciż i Zacierski. (*wybiegając z gabinetu.*)

Z a c i e r r s k i.

Czekaj, zatrzymaj się kochaneczku! myślałeś

że znowu potrafisz zemknąć jak niegdyś z Miedzagoły, ale ja nie głupi, nie sprzedasz mię dwa razy, no! ruszaj z babą do tamtéj izby (*wskazuje drzwi przeciwne*) i tam poczekacie na pana, prędzéjże!!

BOGUMIŁ.

Idę, ale się mię nie dotykaj, bo jak Bóg Bogiem! łeb ci roztrzaskam.

ZACIERSKI. (*odskakując*).

A kap cię paralusz rozbójniku! podpalaczu!

BOGUMIŁ.

Uściskaj mię kobiéto, pobłogosław, może mi to doda odwagi.

MARTA.

Niech się wszyscy Święci opiekują nad tobą, idź, idź i nie gniewaj hardością pana: może ci przebaczy.

ZACIERSKI.

Dałabyś pokój babo tym błogosławieństwom, to podpalacz! zbójca!

BOGUMIŁ.

Ha! nędzny!...

SCENA IV.

CIŻ PROKOPOWICZ. ZBYTKOWSKI. MIŁOWICZ.

ZBYTKOWSKI. (*który wszedł nieco piérwéj*).

Ciszéj tu!

PROKOPOWICZ.

Kiedy bo chamisko harde, dogaduje Zacierskie-

mu, a ja wiem przecie co ekonom znaczy... (*ns.*) a zawsze muszę się wyrwać z ekonomostwem.

Zbytkowski. (*do Marty*).

Czy to twój syn?

Marta.

Nie, Jaśny panie; to chudziątko tylko wychowywało się u mnie.

Zbytkowski.

A skądżeś go wzięła?

Marta.

Sobek, mój bratanek, przyniósł go do mnie i zostawił w Miedzagole, a sam wyszedł wojskowo w kraj świata.

Prokopowicz.

Więc to jaśno jak słońce, że syn Sobka.

Zbytkowski.

A w skazkach czy jest zapisany?

Zacierski.

Zapisany Jaśny Panie! Bogumił Duda! i tak okazuje metryka.

Prokopowicz. (*śmiejąc się*).

Duda! jak? Duda! a bodajże cię piorun trzasł z takiém przezwiskiem. To mi przypomina śpiewkę:

Była Duda nad Dudami!
Poszła bić się ze Szwedami.
A gdy w Dudy zatrąbili,
Duda w dudy, wciąż się kwili!

Zbytkowski.

Więc jesteś synem Sobka Dudy?

PROKOPOWICZ.

Ha, ha, ha! Bogdaj was licho! nie nazywajcie go Dudą bo pęknę ze śmiechu. Czy można nazywać się Dudą? A ty dudo smolona! a ty dudo smorgońska! a ty dudo nieskrobana!!... I tak daléj... etc... umrę ze śmiechu.

BOGUMIŁ.

A ty kto jesteś? ty! który dolewasz wrzący ołów do świéżéj rany. Nazywają cię tutaj podobno pasożytnym robakiem? (*Miłowicz wchodzi i zostaje w głębi.*)

PROKOPOWICZ.

Panie Romualdzie! odeszlij-że lepiéj tego błazna do szpitala warjatów.

BOGUMIŁ.

O tak, tak, do warjatów! stokroć szczęsliwszy ten któremu Bóg rozum odbiéra, niż człowiek który umié czuć, mysléć, a któremu los odmówił wszystkiego.

PROKOPOWICZ.

Patrzcie państwo!... on jeszcze gotów utrzymywać, że to było przeznaczeniem losu aby podpalał dwór i porywał się na pana!

BOGUMIŁ.

Nikczemny! wiem że przekonany jesteś żeś skłamał, a jednak mi urągasz; te świéże rany po mojém ciele zadają fałsz twojéj potwarzy: chciałem ocalić pana narażając własne życie na niebezpieczeństwo, bo w krótce dym odjął mi przytomność, a że nie podpaliłem domu, to....

PROKOPOWICZ.

Widzisz go jaki zręczny łotr, jakie to wykręty! a skądże to wziąłeś się w tym pokoju w którym panowie biesiadowali, kiedy od godziny byłeś zamkniętym? nie gadaj ptaszku, ty podłożyłeś ogień, ty porwałeś się do pistoletu.

ZBYTKOWSKI.

Sąd najlepiéj to wyrozumie.

BOGUMIŁ.

Tak, niech mię Bóg i ludzie sądzą! Ludzie mogą przy najlepszych chęciach popaść w błąd. Ale Bóg w chwili twego konania szlachetny panie, zapyta się ciebie „czego chciałeś od niewinnego?" czy dla głupiéj dumy, czy przez namiętność próżną, czy przez zazdrość piekielną zaprzedałeś duszę swą czartu?!

MIŁOWICZ.

Mylisz się młodzieńcze, pan Zbytkowski nie popełni zbrodni, nie zaprzeda czartu swéj duszy, ale bratnim uściskiem wynagrodzi chwilową pomyłkę. Panie Zbytkowski, każ ustąpić ztąd wszystkim, potrzebuję rozmówić się z wami i świadkowie są nie potrzebni: prędzéj tylko, bo każda chwila jest dla mnie drogą.

ZBYTKOWSKI.

Co oznacza ten głos uroczysty?

MIŁOWICZ. (*niecierpliwie.*)

Ważny, i bardzo ważny wypadek.

ZBYTKOWSKI.

Ciekawym. Ustąp więc panie Prokopowicz, lecz

nie oddalaj się zbytecznie. A ty Zacierski odprowadź Martę, daj się czém kobiecinie posilić, bo wkrótce wyruszycie w drogę i dla mnie niech zaprzęg będzie gotowy. (*wszyscy się oddalają głębią.*)

PROKOPOWICZ. (*odchodzi.*)

Nie zapominaj Panie Romualdzie zabrać z sobą pistoletu, położyłem go na tualecie, nabity; słowo honoru nabity i wszyscy widzieli jak nim zmierzył do ciebie! (*odchodzi.*)

SCENA V.

MIŁOWICZ. ZBYTKOWSKI. BOGUMIŁ.

ZBYTKOWSKI.

Obudziłeś pan moją ciekawość, słucham.

MIŁOWICZ.

(*Idąc za odchodzącemi zamyka staranie drzwi, w głębi toż samo od gabinetów*). Dozwól mi pan zebrać mysli, czy nie uważasz mego wzruszenia?

ZBYTKOWSKI.

Uważam, i zaczynam nawet obawiać się o pana.

MIŁOWICZ.

O mnie nie miéj pan obawy. Włos mój posiwiał pod wpływem cierpień moralnych, i jak radość, tak boleść, wszystko przenieść zdołam; ale o was młodzieńcy trwoga mię ogarnia! ciebie panie Zbytkowski lękam się zrozumieć, a jego lękam się zabić!

ZBYTKOWSKI.

Mów pan śmiało; jestem człowiekiem którego

w Paryżu najtrafniéj nazywają, „un homme blâsé.”

MIŁOWICZ.

Właśnie ta zimna krew mię przestrasza. Chciałbym przemówić do uczucia, do serca, a uważam że trzeba silniejszych pobudek jak słowa, aby obudzić w panu system nerwowy. Pan pewnie wymagać będziesz dowodów?

ZBYTKOWSKI.

Tak panie, dowody czyli pewniki! resztę zostawiam dla marzycieli, kuglarzy i głupców.

MIŁOWICZ.

Szczęście więc moje, że zaopatrzony jestem w dowody który będę miał zaszczyt natychmiast panu przedstawić.

ZBYTKOWSKI. (*ns.*)

Co on zamyśla?

MIŁOWICZ. (*ns.*)

Probujmy jeszcze (*głośno*) Panie Zbytkowski, czy sama tylko zazdrość powoduje do prześladowania tego nieszczęśliwego!?

ZBYTKOWSKI.

Jakiém prawem zadajesz mi pan podobne pytanie?

MIŁOWICZ.

Prawem poczciwego człowieka, który jednak trzyma pana silnie w swojéj mocy, i pytam pana raz jeszcze o powód prześladowania? milczysz panie Zbytkowski; pytam czy sądzisz że ten człowiek stanął ci na drodze w pozyskaniu serca panny Antoniny? jeżeli tak jest, to mylisz się bar-

dzo: sam sobie przypisz winę, że dom Prezydenta odtąd dla ciebie będzie zamkniętym.

Zbytkowski.

A to dla czego? jeżeli spytać wolno.

Miłowicz.

Bo wczoraj jakaś dziewczyna z twojego dworu, wiedziona jak widać zazdrością przybyła do Myślina, widziała się z Antosią i wręczyła jéj listy; te listy są w moich rękach, a dziękuj Panu Bogu że nie dostały się w ręce Prezydenta. Są to trzy listy własnoręczne macochy Antoniny, pisane do pana a dające dość silne wyobrażenie o stosunkach występnych jakie istniały przed rokiem pomiędzy panem a żoną Prezydenta (*okazuje listy*).

Zbytkowski. (*ns.*)

Przeklęcie, to sprawka Wesołuchy (*głośno*). Więc pan Prezydent upoważnił Pana?....

Miłowicz.

Do niczego nie mam upoważnienia, a korzystam tylko z tego odkrycia dla złożenia panu dowodów jego nikczemności!

Zbytkowski.

Pan zapominasz że jesteś w moim domu. Wreszcie prowadząc z macochą panny Antoniny *une intrigue galante!* wywzajemniałem się tylko bardzo delikatnie za romanse panny Antoniny z mojemi ludźmi a....

Bogumił.

Potwarco! dla czegoż nie dozwoliłem ci spłonąć w gruzach tego domu, który tylekroć razy był

świadkiem rozpusty, nie znieważaj Anioła! szatanie, który napróżno w chwili rozpaczy przywoływałeś matkę! matkę! więc wierzysz w cnotę kobiéty.

Miłowicz. (*zakrywając twarz.*)

On wołał matki! nieszczęśliwy!

Bogumił. (*do Miłowicza*).

Panie, miéj litość, co porabia Antosia? wiem że chora, że cierpi, o nic więcéj nie pytam, bo wiem że to kobiéta wyższa nad pospolite kobiéty! że to anioł dobrego Boga! zesłany na ziemię dla pociechy nędzarza, a jéj miłość, jéj miłość! to tchnienie niebios.

Miłowicz.

Proś Boga, nieszczęśliwy! aby ten anioł nie uleciał w niebios sklepienie zanim gwiazda twoja rozjaśni się zupełnie.

Bogumił. (*drżąc*).

Panie, panie! trwoga mię ogarnia, obraz śmierci błysnął przedemną.

Zbytkowski. (*obojętnie zapalając sygaro*).

Gdzie on u licha wyuczył się tych wszystkich górnych frazesów?

Miłowicz. (*wpadając w gniew*).

Mospanie, dość tych żartów, dość tych urągań! one nie upokarzają tego młodzieńca ale upadlają ciebie!! L'homme blâsé, jak sam się nazwałeś, myli się bardzo nazywając wyrazy boleści wyuczonym frazesem! L'homme blâsé, nie znając sam uczuć szlachetnych, dziwi się gdy napotyka je w in-

nych. W godności osobistéj człowieka szuka herbów i tytułów! a od nazwy ojców gotów ująć jedną literę, aby podszyć się pod tytuł książęcy! bez względu, że fałszerstwo może pociągnąć słuszną praw surowość!

Zbytkowski.

Co Pan smiész mówić?

Miłowicz.

L'homme blâsé, w miłości widzi tylko rozpustę, lub posag, prawa honoru podszywa pod prawa korzyści! nie dość na tém: własną przysięgę złożoną przy łóżku umierającéj matki... znieważa, zbezczeszcza frymarką i kłamstwem! chcesz więcéj wiedziéć panie Zbytkowski! ten L'homme blâsé, ten człowiek pozbawiony czucia moralnego. Wdziera się do swiętych podwoi kościoła, wykrada metrykę młódszego brata, niszczy ją, przekształca, a nakoniec tak chlubny bieg swego życia uwieńcza zbrodnią równą brato-bójstwu! bo wiedzie na hańbę lub rusztowanie tego, któremu winien opiekę i wsparcie!

Zbytkowski. (*obojętnie.*)

Dowody, gdzie są dowody? bo jeżeli to tylko próżne słowa, służba potrafi ukarać.

Miłowicz.

Żądasz pan dowodów? chcesz dowodów; (*ze znaczeniem*) pan Dzierżyński wypił wczoraj wina pietnaście kieliszków, ale wywietrzały mu z głowy i ustąpiły moim 20-tu tysiącom i wszystkie papiery już w mojem są posiadaniu.

ZBYTKOWSKI. (*upuszcza cygaro.*)

Któż ty jesteś?

MIŁOWICZ.

Twoje sumienie, żyjąca kronika przeszłości! Jestem ten, któremu nadano moc zniszczyć cię, upokorzyć, lub wzbogacić! Jestem człowiekiem tak jak ty bez czucia tam gdzie idzie o ukaranie zbrodni; nakoniec jestem właścicielem wszystkich dóbr które ci pozostały po matce! nazywam się Adolf Miłowicz, którego przez lat 15 napróżno szukał Dzierżyński — ponieważ długa niewola u dzikich górali wygładziła mię prawie z listy żyjących.

ZBYTKOWSKI.

Proszę o więcéj dowodów.

MIŁOWICZ (*wyjmując list*).

Oto list twojéj matki pisany do mnie przed 15 laty, a który dopiéro teraz odebrałem i z niego dowiaduję się, że mam syna, że ten syn żyje, i że ty powinieneś mi go wskazać — a tym synem to on, to twój brat! . . . .

ZBYTKOWSKI.

Brednie, kłamstwa!

BOGUMIŁ.

(*wysilony wzruszeniem pada na krzesło.*)

MIŁOWICZ.

Zaprzecz więc prawnemu dokumentowi babki waszéj, nadającemu Bogumiłowi nazwisko Zagorskich i wszystkie dobra spadkowe matki, zaprzecz więc listowi konającéj, która mię zawiadamia: że tobie powierzyła odszukanie Bogumiła, którego

przezorny opiekun ukrył przed gniewem Zbytkowskiego i zawiadomił ją tylko, że może go poznać po trzech literach wypisanych na ramieniu M. B. Z., t. j. Marja, Bogumił Zagorski! — te trzy litery on! ma wypisane na ramieniu, a teraz wydrzéć syna z objęć ojca jeżeli potrafisz, jeżeli się odważysz!!

BOGUMIŁ.

Panie! może się mylisz, może serce cię zwodzi.

MIŁOWICZ.

Dziecię moje jedyne, poznałem cię opatrując twoje rany, kiedy omdlonego wydobyto z płomieni, poznałem cię po tych szlachetnych rysach, które przypominają mi rysy ubóstwianéj kobiéty. Jéj wizerunek był osłodą w długiéj mojéj niewoli; mam go jeszcze przy sercu: patrzcie, to wasza matka, któréj popioły wołają do was: „Bracia! nie bądźcie sobie wrogami!” (*oddaje Bogumiłowi sylwetę*).

BOGUMIŁ.

Ojcze, matko! ach! siły mię odstępują...... ojcze nie opuszczaj mię... Bracie nie odmawiaj mi twego uścisku. Matko! matko! módl się za mnie (*pada omdlały na krzesło tuląc do serca portret matki*).

MIŁOWICZ.

Patrz, to wzruszenie może być dla niego zabójczém. Chciałem go oszczędzić, ale twoja nieludzka srogość zbyt wcześnie wywołała prawdę na moje usta. Ciesz się jeżeli pragniesz śmierci brata; bo lada chwila, jedno jeszcze silne wzru-

szenie w stopniu przeciwnym jak to, którego teraz doznaje, może być dla niego śmiertelném (*trzeźwiąc syna*). Wróć do życia mój synu! znajdziesz na łonie ojca źródło szczęścia; świat się uśmiécha do ciebie.

Bogumił (*otwierając oczy*).

Ojcze! więc to nie sen? Bracie przybliż się do mnie, pragnę i twego uścisku. Bogactw nie chcę, nie żądam.

Miłowicz (*biorąc rękę Zbytkowskiego*).

Bądź człowiekiem panie Romualdzie! Chcę wierzyć, że wszystkie szlachetne uczucia jeszcze w tobie nie wygasły. Dzierżyński upewniał mię, że istotnie nikt nie wiedział dotąd, co się stało z Bogumiłem: że tylko przezorność nakazała przemienić metrykę, do któréj zfabrykowania przyłożył się (może i bez twojéj wiedzy) niejaki Prokopowicz dawny ekonom z dóbr waszych na Wołyniu. Chcę wierzyć i temu, że umierająca matka w części tylko odkryła tajemnicę urodzenia Bogumiła, że zamilczała przed tobą nazwisko moje; licząc na to, że po odebranym liście nie omieszkam przybyć; ale Bóg inaczéj rozporządził, list edebrałem dopiéro po 15 latach i w nim ślad gdzie mam szukać syna!

Zbytkowski (*prawie w obłąkaniu*).

To dobrze,.... Ale dla czego Antonina go kocha? którą posiadać chcę, muszę!!

Miłowicz,

Szalony, gwałtem nie zmusisz serca aby cię kochało!

SCENA VI.

CIŻ I PREZYDENT.

PREZYDENT.

Doktorze, już nie masz po co wracać do Myślina.

MIŁOWICZ.

Boże! (*spostrzegając niespokojność Bogumiła, który powstał z krzesła i słucha uważnie*). Ciszéj, ... zamilcz, na Boga miéj litość!, . .

PREZYDENT.

Antosia umarła!!!

ZBYTKOWSKI. } Ah!
BOGUMIŁ. }

PREZYDENT.

Jechałem tu po ciebie doktorze, w drodze dopędził mię posłaniec. Ah, doktorze, doktorze! twoja nieobecność pozbawiła mię córki?

MIŁOWICZ.

A ty pozbawiasz mię syna! . . . Patrzcie, patrzcie, on umiéra! Mój synu, moje dziécię. Ah! sztuko natchnij ojca pomysłem, aby uratował syna! . . . nie. . . nie . . . on umiéra! . . . i żadna siła na ziemi utrzymać go nie zdoła. . . . Liczę jego pulsów uderzenia, raz, dwa, trzy; coraz prędzéj, prędzéj, . . . , tak . . . a potém coraz wolniéj, wolniéj, tak. Raz jeszcze usłyszę twój głos; raz jeszcze spojrzysz omdlałym wzrokiem na ojca . . . a potém. . . . Ciszéj, słuchajcie! umarły przemawia!!

B o g u m i ł.

Gdzież jestem, widzę was znowu mary złudzenia..... tu mój ojciec.... tu moja matka... brat... brat, to on!... (*czołgając się do nóg Zbytkowskiego*). Nie złorzecz, nie przeklinaj mię. Przez pamięć matki, która nas obu pod sercem nosiła.... podaj mi na drogę wieczności uścisk brata.... one tam! obie oczekują na mnie.

M i ł o w i c z.

Kacie! patrz na twoją ofiarę; lecz jeśli dla niego śmierć, dla ciebie nędza i ohyda!

Z b y t k o w s k i (*martwym głosem*).

Nędza!!.. (*chce podnieść Bogumiła, który nagle jakby popchnięty nową myślą, zrywa się*).

B o g u m i ł.

Ah! nie, tyś ją zabił!! a z nią moje życie... Antosia! Antosia! oh! przekleństwo tobie!! (*padając na ręce Miłowicza*). Oh! nie,... ona tam.... przy naszéj matce oczekuje na mnie i przyzywa... Antosio! Antosio! jakżeś ty lekka w tym jasnym obłoku....... przebaczam ci bracie, błogosławię..... jestem szczęśliwy.... umiéram.......

M i ł o w i c z (*trzymając rękę syna*).

Jeszcze minuta życia.... sekunda.

B o g u m i ł.

Ojcze!

M i ł o w i c z.

Już nie mam syna!!!

Z b y t k o w s k i.

Umarł, i konając mówił o szczęściu. Ja także

chcę być szczęśliwym. Trzy trumny, jak hasło zgody, niech legną w jednéj mogile.

Prezydent.

Co chcesz czynić?

Zbytkowski.

Nędza! ja nie chcę nędzy, i Antonina umarła... i hańba może mię otoczyć.

Prezydent.

Gdzie idziesz?

Zbytkowski.

Wkrótce usłyszycie moją odpowiedź, nędza mię nie dosięgnie (*wbiega do pokoju na lewo*).

Prezydent.

Czyś zmysły stracił, Romualdzie, wstrzymaj się!! (*wystrzał*). Ah! nieszczęśliwy zabił się...

Miłowicz.

(*rzucając się w objęcia prezydenta*).

A nam pozostaje żal i pokuta.

(*Tłum osób wbiega drzwiami w głębi; na pierwszym planie staje Prokopowicz, Marta i Dzierżyński.*) (obraz).

Koniec Dramatu.